Legacya Stanisława Hozyusza

do

cesarza Karola V. i króla Ferdynanda I.

w roku 1549.

Napisał

Zygmunt Wurst.

(Ciąg dalszy).

To jest dyspozycya mowy. Zastanówmy się teraz nad jej znaczeniem i wrażeniem, które sprawić mogła. Pilnego czytelnika tej mowy uderzy przedewszystkiem to, że Hozyusz postępuje ściśle wedle rad i wskazówek Tarnowskiego: za radą Tarnowskiego prosi przedewszystkiem o ogólne zatwierdzenie przymierza. Tem przymierzem są — również za radą Tarnowskiego — traktaty z arcyksięciem Albrechtem i cesarzem Fryderykiem, podczas gdy o traktacie z r. 1515, któryby z natury rzeczy winien być podstawą nowego przymierza. Hozyusz ledwie wspomina. Również w przedstawieniu sprawy gdańskiej, śląskiej i pruskiej, trzymał się Hozyusz rad Tarnowskiego. jak zresztą w całym sposobie przedstawienia rzeczy. Wedle rady Tarnowskiego należało wyraźnie zaznaczyć, że Polacy nie z obawy jakichś niebezpieczeństw, lecz jedynie miłością pokoju powodowani, proponują Ferdynandowi przymierze. Hozyusz zastosowuje się do tego w zupełności i w jakiż wzniosły sposób! Oto misyę swoją przedstawia jako służbę Bożą raczej niż ludzką. On siejąc miłość i zgodę na ziemi, wypełnia tylko przykazanie swego Boskiego Mistrza. Jakież wrażenie mogła taka mowa zrobić? Porównajmy ją z mową Łaskiego do cesarza, o której pokrótce wspomniałem: z jednej strony wyniosły, suchy i trochę, że się tak wyrażę, naciągnięty wywód hi-

storyczny, ukrywający z trudem nienawiść mowcy do Zakonu — bądź co bądź chrześciańskiego — oto mowa Stanisława Łaskiego; z drugiej strony mowa pełna zapału, siły i ognia, przedstawiająca sprawy ziemskie z prawdziwie wyższego stanowiska, a zakończona apelem do jedności i zgody chrześciańskiej. Nic dziwnego, że taka przemowa męża, już przedtem znanego z rozumu, świątobliwości i nauki, musiała nader przychylne znaleść przyjęcie. Hozyusz w sprawozdaniu swojem pisze, że Ferdynand wysłuchał go „nader łaskawie". Sama zresztą postać męża, którą nam przedstawia załączona do listów Hozyusza rycina, piękna *aqua-forta*, musiała na Ferdynandzie i jego dworze silne sprawić wrażenie: jakoż z tej twarzy ascetycznej, o długiej, siwej brodzie patryarchy, ozdobionej parą przenikliwych oczu, nic innego sądzić nie można, jeno bystry umysł, a świątobliwość wewnętrzną. Po wygłoszeniu tej mowy wręczył Hozyusz Ferdynandowi kopie wspomnianych traktatów i wygłoszonej przez siebie mowy, jakoteż wzór nowego traktatu.[1]) Wzór ten jest spisany na podstawie traktatu z arcyksięciem Albrechtem z r. 1462 i traktatu z cesarzem Fryderykiem z r. 1474, obu — jak wiadomo — zawartych przez Kazimierza Jagiellończyka. Oba te traktaty odznaczają się tem, że są bardzo ogólne, to znaczy nie wiele zawierają konkretnych postanowień i warunków. Szczególniej pierwszy z arcyksięciem Albrechtem jest tylko zbiorem ogólnikowych frazesów i wynurzeń przyjaźni między obiema stronami, drugi z cesarzem Fryderykiem jest nieco konkretniejszy, a zawiera parę postanowień wcale korzystnych dla Polski. We wzorze, przedstawionym Ferdynandowi przez Hozyusza, widzimy:

1. Wzajemne zaręczenie przyjaźni między Zygmuntem Augustem a Ferdynandem, z powołaniem się na traktat z arcyksięciem Albrechtem;

2. wzajemną obietnicę pomocy;

3. żadna strona nie będzie w jakikolwiek sposób występywać przeciw drugiej, ani nie pozwoli na to swoim poddanym; w razie zaś wybuchu jakichś niepokojów w którem kolwiek z dwóch państw nie tylko nie może sprzymierzeniec udzielać żadnej pomocy rebelizantom lub wchodzić z nimi w porozumienie, lecz owszem przeciw takim buntownikom i nieposłusznym winno jedno państwo drugiemu pomagać;

[1]) A. H. IV. Appendix I. 38.

4. poddani obu państw nie powinni w żadnym wypadku czynnie na siebie godzić, lub w razie jakichś nieporozumień sami sobie sprawiedliwości szukać, lecz w postępowaniu karnem przeciw swemu przeciwnikowi trzymać się drogi prawem wskazanej, tak w sprawach cywilnych, jak kryminalnych. — Trzy ostatnie artykuły tego wzoru są wzięte z traktatu z Fryderykiem.

Zygmunt August chciał zatem — jak z tej propozycyi przymierza wynika — zawrzeć traktat po to, ażeby zapewnić sobie radę i pomoc Ferdynanda wobec zamieszek w Polsce, wywołanych jego małżeństwem z Barbarą, — zamieszek, mających główne swe siedlisko w Wielkopolsce, a naczelnikiem generalnego jej starostę, Andrzeja Górkę, który się zmawiał z Janem, margrabią brandenburskim, przeciw swemu panu.

Te propozycye wręczył więc Hozyusz Ferdynandowi na pierwszem posłuchaniu; Ferdynand rozmawiał następnie z Hozyuszem dosyć długo, wypytując się przedewszystkiem o samego Zygmunta Augusta.

Natychmiast po odejściu Hozyusza czytano w radzie królewskiej kopie wspomnianych traktatów i mowę Hozyusza. Po sześciodniowych zaś naradach wysadzono komisyę specyalną do rokowań z Hozyuszem, w skład której wchodzili: Mikołaj Otans, biskup agryjski i kanclerz węgierski, hrabia Henryk Hartenstein, margrabia miśnieński, hrabia Plaven, kanclerz czeski, Jan Hofmann, namiestnik Styryi, Jan Trautson, marszałek dworu, i dr. Jerzy Gienger, namiestnik Szwabii i wice-kanclerz króla rzymskiego. W skład tej komisyi, złożonej z członków Tajnej Rady, wchodzili więc: kanclerze czeski i węgierski, namiestnicy styryjski i szwabski, marszałek nadworny Ferdynanda i burgrabia miśnieński. Z członków tych zasługuje na szczególniejszą uwagę Jan Hofmann, do niego bowiem dostał Hozyusz listy polecające i miał go prosić imieniem swego króla o pomoc i radę, za co król polski obiecywał mu „przy sposobności się wywdzięczyć“. To wywdzięczanie się w formie podarunków, a nieraz i pieniężnych datków, jest charakterystyczną cechą dyplomacyi XVI. wieku, która przybierze tak potworne kształty w wieku XVII., w epoce Ludwika XIV. Zobaczymy jeszcze, jak wiele bogatych i kosztownych podarunków ofiarować musiał Hozyusz wpływowym dygnitarzom Ferdynanda i Karola.

W kilka dni po pierwszem posłuchaniu Hozyusza, zebrała się ta komisya, w której imieniu zabrał głos dr. Gienger. Król rzymski chętnie przychyla się do propozycyi króla polskiego,

jednakowoż rzecz wymaga dłuższej rozwagi i porozumienia się z posłem polskim, dlatego król Ferdynand upoważnił mowcę i jego towarzyszy do traktowania z Hozyuszem: jako tacy oświadczają oni imieniem swego króla gotowość do zawarcia przymierza; odpowiada to zresztą ojcowskiej miłości króla Ferdynanda do Zygmunta Augusta, której najlepszym dowodem ze strony Ferdynanda było wydanie swej pierworodnej córki za króla polskiego i przybranie go w ten sposób za syna. W proponowanej zatem przez króla polskiego walce, w której bronią będzie nie oręż, lecz miłość, napewno obiecuje sobie zwycięstwo; chciałby więc zawrzeć nie dożywotnie przymierze, lecz dziedziczne, z tem jednak zastrzeżeniem, że przymierze to będzie miało dla obu stron moc obowiązującą dopiero po otrzymaniu ratyfikacyi cesarza Karola; co zaś się tyczy żądania króla polskiego, by najpierw zatwierdzić przymierze w ogólności, następnie dopiero o poszczególnych sprawach radzić, to król rzymski sądzi, że zatwierdzenie dawnych przymierzy jest niemożliwe, bo traktat z Albrechtem już się skończył, a z Fryderykiem nigdy w życie nie wszedł. Należy więc przymierze odnowić, traktując od razu nad sprawami poszczególnych królestw i prowincyi. Poseł polski przedstawił wprawdzie formułę obustronnie zawrzeć się mającego traktatu, jednakowoż wzór ten jest tak samo ogólny, jak przymierze z Albrechtem i Fryderykiem. Gdy więc nie ma mowy o potwierdzeniu dawnych przymierzy, należy z propozycyi Hozyusza uwzględnić tylko konkretne artykuły i na ich podstawie tekst nowego przymierza osnuć. Artykuły te wymagają jednak lepszej definicyi i przeróbki. I tak artykuł o dawaniu posiłków jest zbyt ogólny i nie nie mówi, do jakich posiłków są obie strony obowiązane; zresztą artykuł ten nigdy w życie nie wszedł, ilekroć bowiem król rzymski prosił ś. p. króla Zygmunta o posiłki, nigdy ich nie otrzymał; należy więc wyraźnie zaznaczyć, czy i jakich posiłków domaga się król polski i nawzajem obiecuje, czy też poprzestaje na ustnem zobowiązaniu; następnie artykuł, by nikt drogą czynu, tak w sprawach cywilnych, jak kryminalnych, nie zamyślał przeciw drugiemu występować ani sobie sam sprawiedliwości nie wymierzał lub mścił się, lecz by trzymał się drogi prawem wskazanej (w postępowaniu przeciw stronie drugiej), jest niedość jasny; Ferdynand zostawia więc rozwadze Zygmunta Augusta, czyby nie unormować postępowania w takich wypadkach, a mianowicie, by poszkodowani obywatele jednego państwa przez obywateli drugiego byli zobowiązani zgłaszać swe pretensye przed sądem, złożonym

z superarbitra i komisarzy czyli sędziów w tym celu wydelegowanych: trzeba następnie wyraźnie zaznaczyć, że jedna strona nie ma użyczać pomocy buntownikom państwa drugiego, a gdy już o tem jest mowa, nie podobna pominąć sprawy, jaką ma Ferdynand z synem ś. p. króla Jana. Wprawdzie król rzymski ma nadzieję, że wszystko skończy się pokojowo, to jednak gdyby inaczej wypadło, winien król polski złożyć obietnicę, że w takim razie nie będzie wspierał króla Jana przeciw królowi rzymskiemu, ani pośrednio, ani bezpośrednio. Na to ostatnie żądanie Ferdynanda należy położyć szczególny nacisk. Żądanie to bowiem, przez cały czas rokowań ponawiane i bronione z wytrwałością, w końcu się utrzymało. Musiało więc Ferdynandowi nie mało zależyć na tym artykule, gdy się w tym względzie tak nieugiętym okazał. Sądzę nawet, że ta sprawa w pewnym stoi związku z sprawą pruską, a przedewszystkiem z samem przymierzem. Nie będę chyba dalekim od prawdy, jeżeli łagodne postępowanie Karola i Ferdynanda w sprawie banicyi księcia pruskiego, jakoteż chętne przychylenie się ich do propozycyi przymierza, uważać będę za wynik obawy, by Zygmunt August nie odpowiedział pięknem za nadobne i otwarcie z młodym Zapolyą się nie połączył.

Wróćmy jednak do dalszego ciągu odpowiedzi komisyi. Doktor Gienger poruszył następnie kwestyę monetarną. Tu dla objaśnienia należy tyle powiedzieć, że jeszcze w roku 1546, w dniu 27. lutego, przybyli do Wilna Jan Regensbergk a Dirskoviez i Jan Lang starać się o wyrównanie *(adaequatio)* monety w obu państwach;[1] w lipcu zaś roku 1548 udaje się Marcin Kromer do króla Ferdynanda celem upomnienia się o zmniejszenie waloru monety polskiej na Śląsku i Morawie.[2] W tej to kwestyi oświadczył doktor Gienger, że kwestya monetarna jest już od dłuższego czasu kwestyą sporną między oboma państwami. By ten spór zakończyć, prosi król rzymski polskiego o wybijanie monety takiej samej wartości, jak jego, a przynajmniej o zgodzenie się na sprawiedliwą cenę wybitej monety, według tego, czy jest gorszą, czy jest lepszą, co wyjdzie na korzyść obu państw: następnie domagał się zniesienia zakazu stosunków handlowych w r. 1538 wydanego[3] i wyraźnego zaznaczenia w paktach, że dozwala się

---

[1] A. H. IV. 1. 172.
[2] Scriptor. rer. Pol. I., 284.
[3] Volumina legum, I., 262

obustronnym poddanym przejazdu i prawa handlu, a znosi się na przyszłość wszelkie zamknięcie komunikacyi; żąda dalej wsunięcia w pakty konwencyi o ściganiu i karaniu burzycieli w roku 1538 zawartej w Głogowie, lecz dotąd nie ogłoszonej.[1] Niektóre z artykułów tej konwencyi odnoszą się do spraw węgierskich, nad temi życzy sobie król rzymski jeszcze bliższego zastanowienia. Wreszcie król rzymski, wierny zawsze swoim obowiązkom, nie może zgodzić się na to, by z tego przymierza Ojciec święty i Stolica Apostolska, a także cesarz i cesarstwo rzymskie nie byli wyjęci, żąda zatem ekscepcyi papiestwa i cesarstwa, to znaczy, że przymierze to króla rzymskiego przeciwko nim obowiązywać nie ma, ponieważ zaś król rzymski zawarł z cesarzem tureckim pięcioletnie zawieszenie broni, którego święcie chce dochować, przeto musi prosić o ekscepcyę także cesarza tureckiego na czas trwającego i ewentualnie mającego zawrzeć się rozejmu. Wywód swój skończył doktor Gienger oświadczeniem, że on i jego towarzysze mają upoważnienie do szczegółowego omówienia powyższych spraw.[2]

By sobie teraz punktami uzmysłowić żądania Ferdynanda, widzimy, że Ferdynand: 1. zastrzega sobie ratyfikacyę cesarza Karola; 2. nie chce potwierdzić dawnych przymierzy, z których jedno było tylko dożywotnie, drugie nigdy żadnego skutku nie osiągnęło i przez spadkobierców wystawców nie było potwierdzone, chce natomiast nowy tekst przymierza ułożyć i umieścić w nim tylko te artykuły, które rzeczywiście będą omowione, a o dawnych tylko wspomnieć; 3. żąda wyraźnego oznaczenia wzajemnych posiłków wojennych; 4. domaga się niepomagania nieprzyjaciołom drugiej strony w ogólności, zaś Janowi Zygmuntowi Zapolyi w szczególności; 5. uregulowania kwestyi handlowej, monetarnej i sprawy wzajemnego karania przestępców i burzycieli pokoju, a wreszcie dokładnego określenia sposobu rozwiązywania zatargów między obustronnymi poddanymi; 6. ekscepcyi Stolicy Apostolskiej, Papieża, cesarstwa, cesarza rzymskiego i sułtana, ostatniego na czas rozejmu.

Widzimy więc, że główne żądanie Hozyusza o zatwierdzenie przymierza z Fryderykiem i Albrechtem Ferdynand stanowczo odrzuca, pragnie natomiast wystylizowania nowego traktatu.

---

[1]) Dogiel, Codex Diplomaticus, I., 32.

[2]) A. H. IV., I. 313.

Hozyusz, usłyszawszy odpowiedź Ferdynanda, nie uważał za stosowne natychmiast bez zastanowienia się na nią odpowiedzieć; podziękował tylko Ferdynandowi za przychylność jego dla swego króla, który z pewnością potrafi ją ocenić: król posłał go dla zatwierdzenia przymierza i nie sądził, że to napotka na jakieś trudności: przecież Ferdynand jest obowiązany do zachowania przymierza, które niegdyś jego pradziad Fryderyk z dziadem Zygmunta Augusta, Kazimierzem, zawarł nie tylko jako dziedzic Fryderyka, lecz także jako jego potomek: jeżeli bowiem władcy są obowiązani do zachowania traktatów, które przez zupełnie obce dla nich osoby zostały zawarte, to tem więcej obowiązany jest król rzymski do zachowania przymierza, zawartego przez jego pradziada. Nie prosi zresztą król polski o nic nowego, chodzi mu tylko o zatwierdzenie dawnych paktów: poseł nie może nic w nich zmieniać albo wyjaśniać, lecz zgadza się, aby komisya na podstawie swego uznania je rozszerzyła i wyjaśniła: poseł pośle ten rozszerzony tekst przymierza do swego króla. Nie to jednak nie powinno przeszkadzać zatwierdzeniu przymierza z Fryderykiem: do takiego zatwierdzonego przymierza może być dodana deklaracya w formie, na którą się obydwaj władcy zgodzą: nad nowymi artykułami należałoby raczej wtedy radzić, gdy będzie mowa o traktatach z królestwem czeskiem i węgierskiem. Poseł sądzi, że o monecie nie pora teraz radzić, gdyż król polski nie może nic w tej sprawie postanowić bez współudziału stanów królestwa. Zresztą poseł, tak jak ma w instrukcyi, o wszystkiem doniesie swemu królowi i poczeka na jego informacyę, tymczasem prosi jeszcze raz o zatwierdzenie przymierza z Fryderykiem. W końcu prosił poseł o udzielenie mu odpowiedzi króla rzymskiego na piśmie.

Przed rozejściem się oświadczyli komisarze Hozyuszowi, że o odpowiedzi jego uwiadomią króla. Posiedzenie to pierwsze Hozyusza z komisarzami odbyło się dnia 11. kwietnia.

Nazajutrz wczesnym rankiem przybył do Hozyusza doktor Gienger i dał mu, jak tego poseł żądał, ustnie wypowiedzianą w dniu wczorajszym odpowiedź Ferdynanda na propozycyę przymierza, ze strony polskiej przedstawioną. Przeczytawszy je, zbijał Hozyusz kolejno wszystkie zarzuty: i tak na zarzut, że przymierze z Fryderykiem nigdy potwierdzone nie było, oświadcza Hozyusz, że wprawdzie w archiwum króla polskiego nie znalazł żadnego potwierdzenia przymierza z cesarzem Fryderykiem i możliwą jest rzeczą, że go też nie było. Prawdopodobnem jednak jest, że stry-

jowie Zygmunta Augusta, Jan Olbracht i Aleksander, żądali potwierdzenia paktów, lecz gdy ich posłom stawiano nowe warunki, nie uważali za rzecz odpowiednią swojej godności dwa razy o potwierdzenie prosić. Pamięta zapewne król rzymski, że gdy tylko wstąpił na tron, posłał do niego ś. p. król Zygmunt Krzysztofa Szydłowieckiego, kasztelana i starostę krakowskiego, a kanclerza Królestwa, w tym samym celu: rzecz jednakowoż znowu się rozbiła o nowe żądania strony przeciwnej i Szydłowiecki z niczem do Polski powrócił. Na zarzut, że przymierze z Fryderykiem żadnego skutku nie osiągnęło, odpowiada Hozyusz, że ostrze przymierza między Fryderykiem a Kazimierzem skierowane było właśnie przeciw Maciejowi, królowi węgierskiemu. Przymierze to zacieśniła jeszcze walka, jaką z tymże Maciejem prowadził ś. p. Władysław, król czeski, a teść Ferdynanda. Czy zaś przez następców Fryderyka i Kazimierza to przymierze było zachowane, o tem nic powiedzieć się nie da: niewątpliwą jednak jest rzeczą, że było to najgorętszem życzeniem królów polskich. Z własnej chęci ofiarował Zygmunt Ferdynandowi posiłki przez Szydłowieckiego, jednak ich nie przyjęto. Jeżeli więc potem ze strony polskiej nic w tym kierunku nie zrobiono, czegoby może sobie król rzymski życzył, nie jest to winą króla polskiego. Niesłusznym jest również zarzut, że przymierze z Fryderykiem nie osiągnęło żadnego skutku, albowiem ś. p. król Kazimierz nie słowami tylko, lecz i czynem wspierał cesarza Fryderyka w wojnie przeciwko królowi węgierskiemu Maciejowi, gdy natomiast Zakon krzyżacki sprzymierzył się z Maciejem przeciw Fryderykowi. Również i zięć Ferdynanda Władysław, król Czech, walczył z tymże Maciejem o tron czeski, na który w prawowity sposób był powołany. Że zaś i następcy Kazimierza życzyli sobie najgoręcej dochować przymierza, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Wszak z własnej chęci ofiarował król Zygmunt pomoc swoją Ferdynandowi, której wtedy król rzymski — jak się zdaje — bardzo potrzebował. Wtedy ich jednak nie przyjęto, że zaś później nie uczyniono nic w tym kierunku, jak sobie tego życzył był może król rzymski, nie jest to winą Polaków. Lecz niech Ferdynand nie sądzi, by Zygmunt wspierał kogo kiedykolwiek przeciw niemu. Miał przecież krewnego w królu Janie, z którego siostrą się ożenił, lecz ani nawet palcem w obronie jego nie kiwnął, jako wygnańcowi nie dał mu na dworze swoim schronienia, ani nawet listownie go nie pocieszał. Tak silną była jego przychylność dla Ferdynanda, że nawet tego, co jest prawem gościnności nakazane, względem

niego nie spełnił, na co król Jan niejednokrotnie gorzko wobec Polaków się żalił. Za to zaś, że król Jan w Polsce ochotników zaciągał, odpowiadać nie może; starał się bowiem wszelkimi sposobami temu przeszkadzać, lecz wiadomą jest rzeczą, jak trudno w takim wypadku chętnych powstrzymać. Tu należy zauważyć, że stosunek Zygmunta do Jana Zapolyi przedstawił Hozyusz w świetle nieco przesadnem, wiadomem jest bowiem dzisiaj, że Zygmunt Stary a i Zygmunt August trzymali się względem Zapolyi polityki życzliwej neutralności. — Udowodniwszy więc tak, że przymierze z Fryderykiem ma i powinno mieć znaczenie czyli walor, odpowiadał Hozyusz na żądania, wyrażone przez komisyę dnia poprzedniego. Na dokładne oznaczenie posiłków nie ma upoważnienia; co się tyczy sposobu załagodzenia wzajemnych zatargów wie tylko tyle, co zresztą prawem pospolitem jest zastrzeżone, że strona skarząca ma udawać się do sądu, któremu podlega oskarżony *(actor forum rei sequi debet)*; jeźli zaś kto jest pokrzywdzonym, ma w sądzie kompetentnym szukać sprawiedliwości *(in foro competenti quaeri debet)*; możliwem jest jednak dokładniejsze sformułowanie tego artykułu. W sprawie węgierskiej oświadczył: Król nie będzie pomagał Janowi Zygmuntowi, gdyby chciał co poczynać przeciw Ferdynandowi, „byle tylko układy były mu zachowane i to, co mu się należy, było mu dane" *(modo, ut pacta illi serventur et quae debentur, praestentur)*. Sprawę monety należy odłożyć do sejmu, gdyż król sam o tem nic stanowić nie może; w sprawie zakazu stosunków ze Śląskiem ma wystarczającą instrukcyę, lecz ma polecone ukończyć naprzód sprawę ogólnego zatwierdzenia paktów: gdy się to załatwi, będzie można o tem traktować, kiedy będzie mowa o traktacie z Królestwem czeskiem, a Hozyusz nie wątpi, że król polski uczyni wszystko, co w jego mocy, by królowi rzymskiemu wygodzić, jak to zresztą dokładnie Langowi oświadczył. [1]) Na ściganie i karanie burzycieli zgodzi się Zygmunt August, zdaniem Hozyusza, łatwo. W dalszym ciągu sprzeciwia się ekscepcyi Stolicy Apostolskiej i cesarza rzymskiego; z Stolicą Apostolską bowiem zostaje król polski w dobrych stosunkach, zresztą leży ona tak daleko, że trudnoby mu było tam wojsko posłać; do cesarza zaś ma poseł zamiar

[1]) A. H. IV. 1. 320: De interdictu in Silesiam frustra fortassis egero, si Langus iam optatum responsum retulit.

udać się celem uzyskania konfirmacyi przymierza, przeto ekscepcya cesarza rzymskiego sama z siebie dokona się; a już zupełnie nie jest w stanie poseł zrozumieć, dlaczego, gdy przymierze zawiera się z cesarzem i królem rzymskim, jest mowa o ekscepcyi cesarstwa; podobnie mógłby król polski Królestwo polskie ekscypować.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pamiętnik z podróży na zjazd historyczny

imienia Jana Długosza

odbytej w maju 1880 roku.

(Ciąg dalszy).

III.

Obchód Jana Długosza w kościele św. Michała na Skałce.
19-go maja 1880 roku.

Dzień dzisiejszy przedewszystkiem poświęcony został uroczystościom kościelnym.

O godzinie 9-tej rano wszyscy zgromadzeni w Krakowie uczestnicy Zjazdu historycznego, oraz pobożna publiczność udała się do kościoła na Skałkę, gdzie już liczne duchowieństwo oczekiwało. Kordon straży ogniowej pod przewodnictwem młodziuchnego ucznia Wszechnicy Jagiellońskiej. Jędrzeja Potockiego, oddzielał krużganek kościoła od tłumów zbierającej się publiczności, a z najwyższej części krużganku Edward Mostowski i Konstanty Przeździecki z polecenia profesora Łepkowskiego dawali znać Potockiemu, kogo mianowicie ma przypuścić do wejścia u krypty.

Po raz pierwszy tam ujrzałem galicyjskich dygnitarzy w bogatych kontuszach, przy kameryzowanych karabelach. rektora Uniwersytetu w płaszczu szkarłatnym. podbitym gronostajami. a tuż przed nim nieodstępnych trzech bedeli w strojach średniowiecznych. trzy kosztowne berła rektorskie bezustannie trzymających, dalej jagiellońskich profesorów w togach i biretach szkarłatnych

szafirowych, czarnych lub fioletowych, stosownie do fakultetów do jakich należą. [1])

Tu też poznałem d-ra Zyblikiewicza, dzielnego prezydenta miasta Krakowa, który mię zaprosił do loży namiestnika galicyjskiego, na mające się odbyć wieczorem przedstawienie obrazu historycznego „Długosz i Kallimach“, oraz byłego marszałka krajowego Włodzimierza Dzieduszyckiego, słynnego zbieracza i założyciela muzeum imienia Dzieduszyckich we Lwowie. Ten ostatni zaraz przy pierwszem poznaniu zapraszał mię do Lwowa, a tymczasem zachęcił do obejrzenia skarbu Michałkowskiego (złożonego z kilkuset złotych guzów, pierścieni, naszyjników, naramienników i koron), jaki z sobą aż do Krakowa był przywiózł.

Skoro duchowieństwo w pełnym się okazało orszaku, profesor Łepkowski (konserwator krakowskich starożytności) wśród grona licznie zebranych dostojników, prezesa Akademii um., prezydenta miasta oraz profesorów Uniwersytetu jagiellońskiego i nas wszystkich, na ten akt zaproszonych, przed kryptą, u wejścia do grobów oddał klucze od krypty przeorowi OO. Paulinów i w na-

---

[1]) Wspomniane trzy berła starożytne wielkich rozmiarów, wykonane misternie w stylu gotyckim, noszone są przed rektorem Wszechnicy jagiellońskiej na wszystkich uroczystościach uniwersyteckich. Jedno z nich srebrne ozdobione herbami: polskim, rakuskim i rodziny Oleśnickich (Dębno), należało do kardynała Zbigniewa Oleśnickiego, biskupa krakowskiego a po jego śmierci (1455 r.), o której napis na berle umieszczony wspomina, dostało się do Uniwersytetu. Drugie srebrne pozłacane, z jedną tylko tarczą herbową, pośrodku korony umieszczoną, z herbami: papieskim (Aleksandra VI.), polskim i rakuskim, oczywiście należało do Fryderyka Jagiellończyka († 1503), syna Kazimierza, króla polskiego i Elżbiety Rakuskiej. Trzecie berło rektorskie, srebrne pozłacane, sięga początków XV. stulecia. Główny herb, umieszczony w koronie jego, jest ziemi kaliskiej. W jednej wiązce są herby: koronny, litewski i trzeci herb Zadora, zapewne marszałka nadwornego Zbigniewa z Brzezia. W innych wiązkach naokoło tego berła umieszczone są herby, o których domysły tylko robić można. Zarówno rektor jako i dziekani 4-ch fakultetów noszą na swych togach łańcuchy, sprawione za rektoratu d-ra Józefa Dietla w r. 1862, ale tak nieartystycznie wykonane, że o nich nie warto wspominać zbyt szeroko. Złożone są z ogniw mających przedstawiać berła rektorskie w wieńcu wawrzynowym, ponad którym korona królewska; u spodu zawieszone są nieestetyczne gwiazdy, mające na emalii szafirowej równie nędznie wykonane berła rektorskie bezstylowe, które opisanych powyżej wspaniałych trzech bereł w niczem nie przypominają.

stępujących przemówił doń słowach, które mi własnoręcznie spisane tamże na pamiątkę ofiarował:

„Wielebni Ojcowie!

Jasny to dzień mój, gdy za chwilę dobędę zwłok świątobliwego kapłana, znamienitego uczonego i wielkiego miłośnika ojczyzny — oddając je znowu, po czterech wiekach, modlitwom Kościoła i czci narodowej. Szczęśliwa godzina, w której zwracając Ci, wielebny Ojcze, klucze od krypty, kosztem kraju na grób zasłużonych urządzonej, nie mam wątpliwości, że przez wieki stróżami jego będziecie — wy, coście narodowi dochowali *palladium*, obraz N. P. Maryi na Jasnej Górze, a broniąc go z Kordeckim, ojczyznę ratować umieli.

Jeśli na Wawelu królów zwłoki, u Was krew św. Stanisława i otwarta dzisiaj katakumba dla tych wybranych, o których przyszłość orzecze, że do miary Długosza dorośli. Tak — na tym progu napisać by się godziło, że przezeń tylko trumna cnotliwego przejść może do chwały, którą darzy ojczyzna.

Wręczając Ci, Ojcze Przeorze, klucze od grobu zasłużonych, zapraszam do odebrania zwłok Długosza, prosząc zarazem Delegata Biskupiego, Księdza Kanonika Polkowskiego, Notaryusza Kapituły katedralnej, aby na świadectwo potomnym spisał akt tej naszej czynności, Was zaś obecnych na świadków tu biorę.“

Odpowiedź Ks. Przeora na tę z pamięci i z wielkiem namaszczeniem wygłoszoną przemowę Łepkowskiego brzmiała w tych słowach:

„Przedewszystkiem poczytuję sobie za obowiązek złożyć Ci, Czcigodny i Szanowny Panie Konserwatorze, podziękowanie za trudy i znoje, podjęte w odnowieniu i spotęgowaniu czci dla naszego wielkiego fundatora a niezrównanego dziejopisarza świetnej przeszłości narodu.

Jako od ubogich zakonników przyjm za to serdeczne i staropolskie: „Bóg zapłać!“

Otwierając dziś kryptę dla zwłok zasłużonych Kościołowi i Ojczyźnie, oddajesz nam klucz od niej, to znaczy, oddajesz nam skarb najdroższy. Prawdziwy to zaszczyt dla nas ubogich zakonników. — Rękojmią pewności niech będzie to przekonanie, że oddajesz go, Szanowny Panie, ludziom poświęconym modlitwie — a gdzie modlitwa i strzeżenie reguły, tam pewność niezawodna.

Oto zadatek, który daję w imieniu swego Zakonu, odbierając klucze od skarbu narodowego.“

Każde słowo słyszałem, bom stał tuż przy Łepkowskim.

Po tej uroczystej chwili oddania w opiekę zakonu szczątków Długosza, Ks. Przeor Paulinów kluczem, który mu wręczył konserwator, otwarł drzwi od podziemnego kościoła.

Straż przy drzwiach pełnili ochotnicy straży pożarnej z siekierkami, u skórzanych pasów zręcznie przytwierdzonemi, w prześlicznych mundurach granatowych, ozdobionych amarantowemi wypustkami i w hełmach srebrzystych. Jak się niebawem dowiedziałem, byli oni wszyscy uczniami Uniwersytetu, pluton zaś tejże straży pożarnej, tworzący łańcuch wkoło kościoła, miał się składać z mieszczan i rzemieślników krakowskich. Dalej zaś umieszczono straż ochotniczą ze Swiątnik, o której mi mówił prof. Łepkowski, że z własnego popędu przybyła dla utrzymywania porządku przy obchodzie uroczystości Długosza na Skałce. Z prawdziwą przyjemnością zauważyłem, że umiano zachować zupełny porządek bez zbytniego hałasu, który tak często w podobnych uroczystościach mąci ich powagę.

Umieszczony poniżej protokół przedstawia cały przebieg czynności wydobycia szczątków Długosza z ich dotychczasowego schronienia i przełożenia onych do nowej trumienki cynkowej o wspaniałej pokrywie w barwach narodowych. Zaznaczyć tu tylko wypada, że aktu tego dopełniono z wielkiem namaszczeniem i prawdziwą powagą.

Panował też nastrój niezwykły wśród zebranych, gdy konserwator Łepkowski młotkiem odbił ostatnią cegłę i wydobył z głębi muru katakumby urnę glinianą o dwóch uchach z kośćmi Długosza. Urna była ustawioną na podstęplowaniu. Na urnie napis ołówkiem: *„Ossa Ill-mi Joannis Dlugossi* etc. etc.“

Czynność wydobywania kości i ich rozpoznawania przez prezesa Akademii umiejętności d-ra Józefa Majera, nie mniej była wzruszającą,[1]) a znać było bolesne wrażenie wśród wszystkich

---

[1]) Dzienniki wczorajsze i dzisiejsze dość dokładnie ją opisywały. Wyjmowane i donośnym ale jakby grobowym głosem nazywane kości Długosza, wedle determinacyi d-ra Majera, były następujące: kość biodrowa, 14 żeber, 16 kręgów szyjnych i grzbietowych, łopatka lewa, kości udowe prawa i lewa, kość goleniowa, przykostki goleniowe, kości ramieniowe prawa i lewa, kość łokciowa prawa i lewa, kostka śród-

zebranych, gdy skonstatowano, że nie ma czaszki Długosza. Po wyjęciu kości pokazała się na dnie urny glinianej flaszeczka, mieszcząca w sobie widocznie papier jakiś. Po jej rozbiciu znaleziono nadpleśniałą kartkę papieru, pismem zeszłego wieku napisaną. Kiedy kanonik Polkowski odczytywał ten głos z grobu, wzruszenie głębokie wszystkich obecnych ogarnęło. Były to słowa następujące:

„W tym Garnku znajdują się kości Długosza Kanonika y historyka Królestwa Polskiego. Stały te kości bardzo długo w Garnku w Grobie tutejszym. Tandem Roku Pańskiego 1792 dnia 12. Augusti, w święto ś-go Wawrzyńca w Imieniny na ten czas Ojca Przeora tutejszego, Definitora Prowincyi, świętej Teologii Doktora. — Gdy te Katakumby zostały skończone, kości wspomnianego Długosza zamurował Mularz niejaki Marcin Ławecki przy mnie na ten czas suppryorze tuteyszym oraz prefektem teyże fabryki Katakumbow Imieniem X. Andrzey Czechowicz.

Gdy tedy dowiedziałeś się, czyie to są kości pobożny Czytelniku, bądź łaskaw za Duszę tę, ktora niegdyś ożywiała te kości zmówić jedno pozdrowienie, tudzież za Przeora imieniem Wawrzyńca Szultera jedno Zdrowaś Marya, nakoniec za Suppryora niegdyś także proszę o jedno Zdrowaś Marya!

Łatwo to uczynisz, gdy będziesz pamiętał na to, iż co ty uczynisz dla innych, inni także za ciebie w czasie uczynią. Vale.“

Po odczytaniu tej karty przez księdza Polkowskiego, przeor OO. Paulinów wezwał obecnych do modlitwy. Chwila ta pobożnie powtarzanej za kapłanem modlitwy w katakumbie romańskiej, ciemnej, oświetlonej tylko blaskiem żółtych świec i kagańców, wokoło trumienki i ołtarza porozstawianych, należała niewątpliwie do najwspanialszych i, jak słusznie zauważył mój kolega profesor Stanisław Janikowski, największe i najtrwalsze na nas wszystkich pozostawiła wrażenie. Zdanie to podzielał całkowicie sędziwy protestant, dr. Roeppel.

Następnie pan konserwator Łepkowski, przełożywszy kości do nowej trumienki ołowianej czy też cynkowej, oddał ją w ręce

---

ręczna i kilka ułamków niezdeterminowanych. Wszystkie te kości nazywał dr. Majer po polsku i po łacinie. Tak je też ogłaszały wczorajsze dzienniki krakowskie w dokładnie oddanym protokole z tej czynności.

zakonników, którzy śpiewając chórem psalm *De profundis* i niosąc uroczyście szczątki swego wielkiego fundatora, wraz z duchowieństwem procesyonalnie opuścili kryptę, aby przy odgłosie poważnych dzwonów do górnego udać się kościoła.

Za orszakiem duchowieństwa postępowało grono dostojników naukowych, na ich czele prezes Akademii umiejętności dr. Majer i prezydent miasta dr. Zyblikiewicz: za nimi rektor Uniwersytetu jagiellońskiego dr. Julian Dunajewski wraz z profesorami, rektor Uniwersytetu lwowskiego dr. Xawery Liske, uczestnicy Zjazdu historycznego, malarz historyczny Jan Matejko i inni dostojni goście, na ten obchód zaproszeni.

W górnym kościele biskup krakowski Albin Dunajewski u pięknie wawrzynami i cyprysami przyozdobionego katafalku przyjął trumnę Długosza a następnie celebrował mszę pontyfikalną żałobną, której wszystkim częściom towarzyszył chór męski z 80 głosów złożony, śpiewając już to *à capella*, już z towarzyszeniem organów. Najbardziej rzewnym i wzniosłym był śpiew *à capella* z tekstem: *„Hostias et preces tibi Domine offerimus, tu suscipe pro anima illi cujus hodie memoriam facimus“* i t. d.

Chór ten rozpoczynał się tajemniczo i cicho, potem wzrastał w sile, aż nakoniec rozbrzmiewał potężnie. Że zaś w tej chwili krakowski Pasterz, następca św. Stanisława i Zbigniewa Oleśnickiego, których tak kochał Długosz, składał bezkrwawą ofiarę za jego duszę, — urok tego śpiewu był podwójny.

Zdawało się, że z całej ojczyzny, z najdalszych nawet jej krańców odezwały się głosy wszystkich Polaków, łącząc się stopniowo w jeden chór olbrzymi lecz harmonijny, równie potężny jak okazały, by wspólną modlitwą doniośle uczcić czterowiekową rocznicę zgonu jednego z najdzielniejszych i najcnotliwszych synów Polski.

Niemniej pięknie wykonano z towarzyszeniem organów poważne *„Sanctus“* i rzewne *„Agnus Dei dona ei requiem, requiem sempiternam“*, poczem ks. kanonik Polkowski wstąpił na ambonę i miał bardzo długą mowę pogrzebową, w której wygłosił naprzód, że nie ma z polityką obchód Długoszowy nic a nic wspólnego, że demonstracya zwraca się zawsze przeciwko komuś, a tu gdy czcimy pamięć Długosza, daleką jest od nas myśl i intencya zaczepienia kogokolwiek. A jeżeli otwierając tę trumnę z przed czterech wieków i coś demonstrujemy, to już chyba tylko to, że nic dla narodu nie ginie, co w wierze i prawdzie poczęte.

Błędna byłaby obawa — mówił dalej — żeśmy zbyt w grobach zamiłowani, bo z nich często zdrowsze tryska życie, bo spłacamy dług wielkiego dziejopisarza za niejedną niesprawiedliwość, a nawet prześladowanie, doznane za życia i za to, że był niemal zapoznany, niekiedy lekceważony, że czekał zbyt długo na odpowiednie uznanie przez potomnych.

Następnie mówca zwrócił uwagę przytomnych na to, iż stoją przy grobie kapłana, historyka, dyplomaty i nauczyciela świętych, przy grobie męża, który głęboką swą naukę zespalał z gorącą miłością rzeczy ojczystych, zdobiąc obydwie najwdzięczniejszą okrasą cnót kapłańskich, żywą wiarą, nieustraszonem męstwem w bronieniu spraw kościelnych, tkliwą pobożnością, zadziwiającem miłosierdziem i dziecięcem przywiązaniem do Stolicy Apostolskiej, a taką czystością uczuć, że sam złotousty Skarga w żywocie jego ulubionego ucznia, św. Kazimierza, nazywa go „sławnym mistrzem i nauczycielem, Długoszem owym,“ z którego królewski młodzian „jako z źródła czystego i hojnego napojony, we wszystkie cnoty rósł.“ Słowem mówca wykazał jasno, że postać Długosza, w świetle prawdy historycznej przedstawiona, wytwarza wraz z jego przyjacielem Zbigniewem Oleśnickim epokę w historyi jagiellońskich czasów, że ta postać i dzisiaj, po czterech wiekach, z pomroki średniowiecznej epoki wyłania się pełna promiennego blasku i staje przed nami w najczystszem świetle jako chwała naszej ojczyzny, jako chluba polskiego Kościoła, słuszna sława naukowa, aby otrzymać nietylko uznanie ale i hołd i przewodniczyć pięknemu wiecowi historyków i uczonych.

Dwóch mężów, a obydwaj rzymskiego ducha kapłani, Kopernik i Długosz, okalają chwałą Polskę naszą, przynoszą zaszczyt polskiemu imieniu i od wszystkich bez wyjątku cześć odbierają.

Taką była mniej więcej treść przydługiej mowy, którąby wiele arkuszy zapełnić można.

Po skończonem nabożeństwie i odśpiewaniu tak zwanego konduktu, sam już biskup krakowski, w asystencyi całej kapituły, duchowieństwa i kleru oraz zgromadzonych uczestników pogrzebowego obchodu wprowadził kości Długosza do krypty.

Trumnę z całą powagą i uroczystością znieśli teraz na nowo do grobu profesorowie jagiellońscy w togach, sznury zaś od trumny trzymali prezes Akademii umiejętności dr. Józef Majer, prezydent miasta dr. Zyblikiewicz oraz dwóch rektorów krakowskiego i lwowskiego Uniwersytetów, Julian Dunajewski i Xawery Liske.

Tu, u stóp nowego sarkofagu, duchowieństwo odśpiewało psalmy, a najdostojniejszy Pasterz Albin Dunajewski dźwięcznym swoim głosem przemówił od trumny w słowach wzniosłych i rzewnych, oddając cześć temu, który pierwszy rozpoczyna szereg zasłużonych w ojczyźnie mężów, mających spocząć w tej katakumbie, kosztem narodu wzniesionej. A mówił swobodnie i poważnie, spokojnie a jednak z życiem i werwą, jasno i prosto a jednak z nieporównanym wdziękiem, który opisać trudno. Zakończył ks. Biskup swą porywającą mowę, pełną prostoty i namaszczenia, oddając Ojcu przeorowi ks. Paulinów na Skałce grób Długosza pod straż i opiekę imieniem Kościoła i ojczyzny.

Duchowieństwo uroczyście zaintonowało hymn „*Salve Regina*": przez chór młodzieży uniwersyteckiej w nieoświetlonej części krypty znakomicie na pamięć *à capella* wykonany, podczas gdy trumnę Długoszową na wieczne czasy w sarkofagu umieszczano.

Następnie przystępowano do podpisywania aktu pamiątkowego, który na sążnistym pergaminie spisany, w olutowanem pudle metalowem złożony został do grobu. Podaję go tu dosłownie z leżącego przede mną dziennika wczorajszego:

†

„W Imię Trójcy Przenajświętszej Amen.

„Dnia dziewiętnastego Maja roku Pańskiego tysiąc ośm-„set ośmdziesiątego w środę po zesłaniu Ducha ś-go, a w czte-„rechsetną rocznicę zgonu Jana Długosza, w obecności świad-„ków: JW. X. Kanonika Scipiona Seniora Kapituły Krakow-„skiej, JW. Prezydenta Miasta Krakowa d-ra Zyblikiewicza, „JW. Prezesa Akademii Umiejętności D-ra J. Majera, Jego „Ekscelencyi JW. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, b. Mar-„szałka Krajowego, Wielebnego Ojca Przeora XX. Paulinów „na Skałce i wielu, bardzo wielu dostojnych świadków i pu-„bliczności i mnie Notaryusza Kapituły Katedralnej delego-„wanego od Najprzewielebniejszego Biskupa dyecezyi kra-„kowskiej Albina Dunajewskiego.

„Pan Konserwator Zabytków starożytności i pomników „prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Józef Łepkowski, zbu-„rzywszy katakumbę, w której jak napis zewnętrzny opiewał, „znajdować się miały kości Jana Długosza, wydobył takowe

„i przedstawił wszystkim, a gdy autentyczność tychże sprawdzona została naprzód napisem, znajdującym się na garnku, „w którym kości złożone były, a potem dokumentem piśmiennym znalezionym w szklanem naczynku, opiewającym jako „w roku Tysiąc siedemset Dziewięćdziesiątym drugim kości Długosza złożone były do Katakumby. JW. Prezes Dr. Majer mnie Notaryuszowi zadyktował, determinąc nazwisko każdej kości, po czem gdy te w przygotowaną trumienkę ołowianą złożone i zalutowane zostały, wyniesiono je w uroczystym pochodzie do kościoła i ustawiono w trumnie na „katafalku.

„Po odprawionej Mszy S-tej pontyfikalnej przy kościach wystawionych, po mowie pogrzebowej, mianej przezemnie Notaryusza Kapituły i odśpiewaniu konduktu, Najprzewielebniejszy X. Biskup Krakowski Albin Dunajewski w asystencyi Prześwietnej Kapituły, Duchowieństwa i kleru oraz zgromadzonych dostojnych gości i wiernych uczestników pogrzebowego obchodu, wprowadził kości Długosza do krypty kościoła S-go Michała. Wnosili je z całą powagą i uroczystością: JW. Rektor, Profesorowie Akademii Jagiellońskiej, a całun trzymali Dostojni Świadkowie uczeni i goście zaproszeni na obchód. Przy sarkofagu ostatnie słowo Pasterskie wypowiedział Najprzewielebniejszy X. Biskup, oddając w straż OO. Paulinów te szczątki Długosza otwierające palladium dla uczczenia popiołów zasłużonych w narodzie mężów. Poczem Akt niniejszy podpisywano w obecności mojej, który będzie złożony w puszce blaszanej, opieczętowanej pieczęcią Najprzewielebniejszego X. Biskupa Krakowskiego, i tą zapieczętowany będzie pieczęcią zamurowany otwór „sarkofagu."

Tu następują podpisy obecnych.

Gdy z kolei przywoływano mię do podpisu, zbliżył się do mnie pan Ludwik Dębicki, jeden z redaktorów „Czasu", przypominając uprzejmie, iż jest moją najdawniejszą znajomością w Krakowie, gdyż przed laty 18-tu, jeszcze jako uczeń wszechnicy jagiellońskiej, zaznajamiał mię ze starożytnościami tego starego grodu, a mówiąc mi przy tej sposobności rozmaite uprzejmości z powodu wydanej w r. 1879 książki mojej o Inflantach polskich, zwrócił uwagę na niektóre nader pobłażliwe jej recenzye, których

dotąd ja wcale nie znałem. Zbliżyli się ponownie pan Włodzimierz Dzieduszycki i prezydent miasta Zyblikiewicz w swych bogatych kontuszach, i zachęcali mię do bliższego obejrzenia ołtarza, wzniesionego w głębi tejże grobowej krypty na Skałce, a którego trafny wizerunek wykonany już został dla redakcyi „Kłosów", więc go tam każdy z was czytających niniejsze wspomnienie z łatwością będzie mógł odnaleść.

Że zaś jeszcze czas jakiś czekać w krypcie musiałem na towarzysza, którego byłem przywiózł w moim powozie na Skałkę, a na którego kolej przystąpienia do podpisu jeszcze bardzo nie prędko przyjść miała, — rad byłem ze sposobności pozostania nieco dłużej w ciekawej z wielu względów krypcie obecnie wcale obszernej, a którą za mojej dawniejszej bytności w Krakowie zapełniały w nieładzie rozmaite nadwątlone katakumby i porozwalane groby, odwiecznem zaniedbaniem iście przerażające.

Prof. Łepkowski, uzyskawszy na cel jej odnowienia dla grobów „zasłużonych mężów" fundusz, przez sejm krajowy wyznaczony, prawie przez 3 lata kierował robotami i wytworzył półkolnie sklepioną jednolitą kryptę z przedsionkiem i sześcin niszami, otynkowaną, pomalowaną pod kolor piaskowca, widną, suchą, opatrzoną oknem, wentylacyą i wyasfaltowaną posadzką.

W głębi jej postawił ołtarz w stylu romańskim, a w pierwszej z bocznych nisz, na prawo od wejścia sarkofag Długosza z napisem:

OSSA
JOANNIS DLUGOSZ
CANONICI CRAC. VISL. ET SAND. ECCLESIARUM
ARCHIEPISCOPI LEOPOLENSIS ELECTI
ANNO ET DIE MORTIS EJUS 1480 DECIMA NONA MAII
EX VASO QUO FUERANT PIE DEPROMPTA
SARCOPHAGO HOC
AERE PUBLICO EXSTRUCTO
GRATA CONDIDIT POSTERITAS.

Nisze, w której się mieści sarkofag Długoszowy, oświeca okno z jego herbami.

Ołtarz i sarkofag wykonano wedle rysunków wyżej już wspominanego architekta Prylińskiego, który i Sukiennice odnawiał, w wielkiej jest on zażyłości z Janem Matejką a tego mistrza pomy-

sły w owym olbrzymim gmachu na rzeźbach kamiennych (czy cementowych?) szczęśliwie zastosował.

Właśnie, gdym zstępował ze stopni ołtarza, w głębi krypty wykonanego, by się bliżej przyjrzeć zdobiącym go z każdej strony wieloramiennym żelaznym świecznikom, zbliża się do mnie zniecacka postać człeka niemłodego i składając ukłon do kolan prosi o wyjaśnienie, co to za jeden ten mąż oczywiście wielki, zwany Długoszem, którego pamięci dzisiaj naród nasz polski tak wielką cześć oddaje, jakie mianowicie są tego męża zasługi, „bo to, pro-„szę Jaśnie Pana, jam cłek prosty, nieucony, jam sołtys z Wie-„licki, com tutaj psybył ze strazą ogniowa, a takby się chciało „i samemu wiedzieć i wszystkim w Wielicce pięknie rozpowie-„dzieć, kogośmy to tu dzisiaj równie serdecnie ucili, jak psed „laty króla chłopków, Kazymirza, co go słusnie wielkim nazywa „ojcyzna, a com ja sam miał scęście podnosić jego ciężką trumnę „na Wawelu!“

Piękne i wdzięczne a nietrudne zadanie — pomyślałem sobie — i w krótkich słowach dałem sołtysowi wszelkie żądane przez niego objaśnienia.

Stojących nieopodal Szujskiego i kilku innych dygnitarzy, co się nam z uwagą przysłuchiwali, rozmowa ta z sołtysem i zajęła i rozrzewniła: mnie zaś głęboko zastanowił dziwny kaprys losu, który, odjąwszy mi już całkowicie od lat dziewięciu sposobność oświecania na naszych oddalonych kresach ludu polsko-inflanckiego memi łotewskiemi pisemkami, zniewolił mię teraz w samem sercu Polski żywem słowem nauczać i oświecać wieśniaka z okolic starego grodu Piastów i Jagiellonów, wieśniaka co kochał przeszłość naszą i z takiem zaufaniem zbliżył się mianowicie do tego z licznie tu zgromadzonych rodaków, który właśnie z najdalszych kresów rozdartej już przed wiekiem ojczyzny przybył na Skałkę dla uczczenia pamięci Długosza.

Szujski, co się temu przypadkowemu *colloquium* nie mógł nadziwić i niem się dosyć nacieszyć, nie dozwolił mi czekać dłużej na towarzysza, (któremu mój powóz chętnie zostawiłem) i niebawem mnie zaprowadził do siedzącej już w karecie pani Szujskiej, aby mię osobiście odwieść do mego mieszkania.

Po niedługim wypoczynku u stojących w tymże co ja hotelu: jubilata J. I. Kraszewskiego i sympatycznego nad wszelki wyraz Włodzimierza Dzieduszyckiego, co przede mną swe bogate skarby Michałkowskie niezwłocznie rozłożył, dając do nich

obszerne ustne objaśnienia — wyjechałem dla oddania niektórych wizyt.

Gdym powrócił do domu dla nieodzownego przebrania się na uroczyste otwarcie kongresu historycznego, zastałem u siebie nieskończoną liczbę kart wizytowych niżej w tym pamiętniku umieszczonych, a pomiędzy niemi i bilet wizytowy profesora Tarnowskiego, do którego nawet jeszcze nie miał czasu pojechać.

Dr. Karol Estreicher trzy razy już daremnie był pukał do drzwi mego mieszkania a to tylko dla dogodzenia mojej fantazyi. Chciał mi bowiem osobiście wskazać drogę, jakabym mógł jeszcze znaleść płatne miejsce w teatrze, gdyż wiedział, że tylko niechętnie byłbym użył przygotowanego dla mnie fotelu w olicyalnej loży Namiestnika, do jakiej przez prezydenta miasta d-ra Zyblikiewicza byłem uprzejmie zaproszony, a która właściwie miała w sobie mieścić samych tylko cudzoziemców i daleką jest od sceny. Ten szczegół o serdecznej uprzejmości k. Estreichera przytaczam jako jedne z niezliczonych próbek prawdziwie dobrze pojętej gościnności Krakowian dla rodaków, z innych dzielnic kraju tu przybyłych.

Był już i redaktor Ludwik Dębicki i zostawił w moim pokoju owe dwa numera „Czasu“ (Nr. 57 i 62 z roku 1879), o których tegoż dnia wspominał mi uprzejmie w krypcie Długoszowej.

Dr. Estreicher wpadł jeszcze raz i wygłosił tryumfująco, że wszelkie trudności co do pozyskania biletu w teatrze już są usunięte i że, jadąc na kongres, mam koniecznie zajechać do teatru, gdzie po przedstawieniu w kasie teatralnej mojej karty czynnego udziału w obradach zjazdu, uprzedzona już przez niego młodzież uniwersytecka wręczy mi bilet do krzesła numerowanego, tuż obok fotelu prezesa Akademii Majera, za które to miejsce przyjmie się chętnie z rąk moich opłata. Jak się następnie od d-ra Majera w czasie przedstawienia dowiedziałem, zachęcono kogoś z Krakowian do odesłania dawno już nabytego biletu do kasy teatralnej, by uczynić dogodność jednemu z gości, co tylko niechętnie chodzi do loży.

Oto nowa kolekcya pozostawionych dnia tego w mojem mieszkaniu kart wizytowych, a wcale nie uboga:

Dr. Józef Majer	*D. J. Łepkowski*
Prezes Akademii umiejętności w Krakowie.	Profesor Uniwersytetu Jagiel.

Stanisław Tarnowski
ul. Szlak.

Valerianus Kalinka
Sacerdos Congregationis a Resurrectione D-ni n. J. Chr.

Prof. Dr. St. Smolka
ul. Sławkowska. 269.

Ks. Stanisław Załęski T. J.
Plac Trybunalski. 2.

Franciszek Czosnowski.

Zygmunt Cieszkowski.

Władysław Ludwik Anczyc

Dr. Antoni Małecki.

Izydor Dzieduszycki.

L. Dębicki.

Kazimierz Jarochowski.

Artur Barthels.

Adam Asnyk
ul. Łobzowska 99.

Michał Bobrzyński.

Fryderyk Zoll.

Antoni Popiel.

Dr. Józef Szujski
c. k. Prof. Uniw. Sekr. gen. Akad. um. w Krakowie. ul. Krupnicza Nr. 14.

J. Dunajewski.

Stanisław Janikowski.

Dr. Xawery Liske.

Drd. Jan Łada Gnatowski
ul. św. Marka 256.

Piotr Falkenhagen-Zaleski.

G. Manteuffel.

(Ciąg dalszy nastąpi)

KORESPONDENCYA
JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO

(Ciąg dalszy).

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 17. maja 1872 r.

Mamciu moja najdroższa . . jestem dzisiaj trochę nieswój, targany w sercu nieokreśloną jakąś tęsknotą, która mnie często bez przyczyny utrapia. Stare to bodaj nałogi ex-poety. A wczoraj byłem wesołuchny jak ptaszek. Nie mogłem się nacieszyć szczęściorna karteczkami mamcinemi, tyle w nich miłości dla mnie, tyle słodkich wynurzań, tyle pieszczot.

Zawczoraj 15-go maja odbyły się chrzciny młodszej mojej Józieczki ze wszystkiemi ceremoniami w rodzinnem Villepreux. Ani moja kuma Kamieńska, ani ja, chociaż tyle dzieci trzymaliśmy do chrztu, nie widzieliśmy tak spokojnego i cierpliwego dziecka. Józieczka była doprawdy jak aniołek. Nie pisnęła ani razu podczas długiego obrzędu, kiedy ksiądz dotknął ustek, sól jej bardzo smakowała: kiedy znowu lał zimną wodę na główkę, uśmiechała się rozkosznie. Widoczny prognostyk, że będzie kiedyś dobrą chrześcianką. Oj, daj to jej Boże, bo ludzkość cała cierpi dzisiaj tak srodze za odstępstwo od wiary w Chrystusa Pana i Kościół. Wzruszyły mnie w głębi duszy chrzciny mojej

wnuczki. Na obiedzie po chrzcinach, okrom kumy Kamieńskiej i starego przyjaciela domu Korabiewicza, było same jeno rodzeństwo. Zresztą czas był wietrzny, chłodny, dżdżysty, że niepodobno było w maju wyjść nawet na ogródek zieleniący się od dawna i rozkwitniony.

Jednocześnie z chrzcinami Jónki miałem w Paryżu dogorywającego przyjaciela, Waleryana Chełchowskiego. Wyjeżdżając do Villepreux, zostawiłem go nieprzytomnego i myśliłem, że za powrotem odnajdę już trupem. Otóż po dziś dzień żyje i odzyskał nawet przytomność. Cóż z tego? kiedy nie na długo stanie tchu. Na szczęście gotów jest na śmierć. Dziwnie się plecie na tym Bożym świecie. Spółcześnie chrzciny i pogrzeb. . . . .

Atmosfera w Paryżu ciągle zmienna. Przed kilkoma dniami był przymrozek, teraz ociepliło się, ale słonce za chmurami wietrzno, dżdżysto, nie miło na dworze. . . . .

Całuję i t. d.

Józef Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 28. maja 1872.

Mamciu moja droga, dziś wyprawiam do Ciebie jeno słóweczko, bom trochę niezdrów i znużony po wczorajszej żałobnej majówce w Montmorency, którą obchodzimy rokrocznie nabożeństwem na pamiątkę sławnych nieboszczyków emigranckich.

W Montmorency dużo było rodaków, ale po większej części nieznajomych z młodszych już pokoleń. Białowłosych koleżków można było zliczyć na palcach, tylu bo wymarło w ostatnich latach, a i niemało chyrla po domach, w dolegliwościach wieku. Wracałem do Paryża w towarzystwie Gałezowskich, Sienkiewiczów, ks. Władysława Czartoryskiego i t. d. Mówiliśmy ciągle o kraju, a mianowicie o Galicyi. Nowin jednak ciekawych nie upolowałem dla Mamci, okrom jednej smutnej, że zacny książę Jerzy Lubomirski skończył swoje cierpienia. Żal się Boże, człowiek w sile wieku i pełen najlepszych chęci dla kraju. Zostawił wdowie czworo dziatek.

Od kilku dni rozpoczęła się pogoda, rozwiośniło się na prawdę, chociaż bez upałów, jakie panują na Podolu i w całej

niemal Polsce. W Kijowie znowu zjawiła się cholera. sprzątnęła ze świata znajomego mi od dziecka Stanisława Tomaszewskiego który wychowywał się w Paryżu, a potem był inżynierem w Rossyi. Matka jego, stara moja przyjaciółka, z domu Sarnecka, umarła także temi czasy we Lwowie. Miewam teraz częste listy z Galicyi, od Goszczyńskiego, Krechowieckiego itp.

Z wiosną trzeba myślić o przenosinach do Villepreux. Zapewnie w końcu czerwca opuszczę raz na zawsze Paryż. Tymczasem wynaleść muszę ciupki studenckie dla Dyzia, Karolka i dla siebie na przypadek zanocowania kiedy w Paryżu. . . . .

Całuję ręce Mamci z miłością.

Józef Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyeres.

Paryż, 2. czerwca 1872 r.

Mamciu moja, wczoraj pogrzebałem przezacnego Waleryana Chełchowskiego. Przez kilka ostatnich dni nie odstępowałem prawie od jego łóżka i modląc się w głos z siostrą nieboszczyka, panią Szemeszową, trzymaliśmy ziębiące ręce aż do skonania. Umarł jak sprawiedliwy, jak święty, jak Józef nasz, którego był przyjacielem. Daj nam Boże taką śmierć w pełni pogody, rezygnacyi i spokoju. Biedna tylko siostra Waleryana, która przez 15 lat służyła bratu jak siostra miłosierdzia, z wyrzeczeniem się świata i wszelkich jego pożądliwości. Mamciu, och są jeszcze zacne dusze na ziemi.

Teraz dla wypoczynku, po wzruszeniach długiego tygodnia jadę na parę dni do Villepreux. . . . .

Całuję ręce i t. d.

Bohdan.

Do Doktora Feliksa Michałowskiego, w St. Etienne.

Paryż, 13. czerwca 1872.

Kochany Feliksie, nie odbierając długo od Ciebie listów, domniemywałem się sam, że przyczyna tego milczenia tkwi w pożegnaniach i korowodach przy rozstaniu się z siostrą, że potem osamotniony i osmutniały, ku pociesze duchowej, zanurzyłeś się po dawnemu w badania swoje filologiczne. Otóż, jak widzę, nie omyliłem się w mojem domniemywaniu. . . . .

Żem nie swój i przygnębiony, nie dziwuj się temu. Jozia mnie znowu mocno zatrwożyła. . . . .

. . . . . Na początku lipca przeniosę się z Paryża do Villepreux, ale, jak widzisz, nie na wesołe wcale czasy. Mój Boże, com ja już przebolał w życiu. Myślilem, że w zmierzchu mego dnia, odzyskam, choć na kilka chwil, trochę pogody i swobody przy wnuczętach. Święć się wola Boża! . . .

A u nas w Polsce, nawet w Petersburgu tropikalne upały i posucha na nieurodzaje i głód. Duszno i coraz duszniej pod względem fizycznym i moralnym na tym padole ziemskim. I cała ludzkość choruje. Co poczciwsi ludzie uciekają ze świata. Niedawno pogrzebałem świątobliwego i przenajzacniejszego Waleryana Chełchowskiego. Dotkliwie czuję tę stratę. . . . .

Ściskam i pozdrawiam i t. d.

J. B. Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Paryż, 28. czerwca 1872.

Kochana moja i najdroższa Mamciu, nie trzeba się strachać druku, ani potem oglądać się na sądy i krytyki ludzkie. Mamcia pracowała na chwałę Bożą i ku pożytkowi bliźnich rodaków, to poklaski niezawodnie posłyszy z Góry, posłyszy słuchem duszy swojej. O poklaski tego świata nie warto dbać, ani troskać się o nie. W ogólności literatura pobożna nie ma miru ani chwalców u ludzi XIX-ego wieku, nawet u nas, w Polsce. Żydowscy dziennikarze wyśmiewają mowy najcudniejsze Papieża, wyśmiewają

Syllabus i najmędrsze uchwały Soboru, to cóż dziwnego, że lekceważą ogół pisarzy ultramontańskich, bez przeczytania nawet ich dzieł. Prawdopodobnie i Opowiadaniom Babuni dokuczać będą złośliwymi docinkami. Wyraźnie w całym dzisiejszym świecie wiąże się koalicya przeciw katolikom na obalenie Kościoła. Otóż złośniki z książętami swymi Bisem i Bismarkiem nigdy tego nie dokażą. Chrystus Pan ich upokorzy bodaj rychło. Kto wie, czy Opowiadania Babuni po dworkach szlacheckich nie wychowają choć kilku wojaków do zastępu Mściciela bożego, co idzie z hasłem: światło i siła przy Prawdzie. W tej świętej otusze, Mamciu, zaczerpnij odwagi, stanie Ci ta otucha za pociechę i osłodę po znojach tyloletniego ślęczenia nad Biblią. Dla tego Wstawki osobliwie, trzeba pilnie przejrzeć, aby w czem nie psuły biblijnego nastroju. . . . . .

Całuję i t. d.

Józef Bohdan.

1. lipca 1872.

Wzmianka

o ś. p. Waleryanie Chełchowskim.[1]

Z przerzedzonego już zastępu towarzyszy, z którymi zestarzałem się na emigracyi, ubył świeżo i przezacny nasz Waleryan Chełchowski. Ku uczczeniu pamięci rodaka, przesyłam do „Przeglądu" pobieżną choć wzmiankę o nim, kilka suchych dat z jego życia, nierozgłośnego zresztą ani okwitego w przygody.

Waleryan Chełchowski urodził się na Litwie w r. 1811 z rodziców bogobojnych, materyalnie dostatnich i nawet zamożnych. Chodził do szkół w Mińsku. Na Uniwersytecie Wileńskim otrzymał stopień kandydata prawa. W powstaniu listopadowem służył w korpusie Dembińskiego podczas sławnego odwrotu do Warszawy, następnie w 13 pułku ułanów Janowicza, z którym wkroczył do Prus. Stamtąd za resztą rodaków udał się do Francyi. Jakiś czas przebywał w Awinionie, zanim dostał się do Paryża.

[1] Drukowane w „Przeglądzie Lwowskim" z dnia 1-go lipca 1872 r.

kędy ostatecznie się osiedlił. Bez funduszów i bez stosunków z rodziną, wcześnie Waleryan jąć się musiał uczciwego zarobkowania. Pracował zrazu jako zecer w drukarni. Pracował później przez kilkanaście lat jako pomocnik przysięgłego tłumacza przy trybunałach paryskich. W końcu otrzymał urząd w ministerstwie francuskiem spraw wewnętrznych przy wydziale prasy zagranicznej, w którym służył znowu lat kilkanaście, aż do niedawnej obłożnej swej choroby. Na wszystkich tych posadach wszędzie i zawsze odznaczał się nasz Waleryan wielką prawością, tudzież sumiennem i wzorowem spełnianiem raz przyjętych obowiązków. Francyę kochał tradycyjnem polskiem uczuciem. Ostatnie jej klęski mocno przebolał i nawet nadwerężył znacznie zdrowie, tułając się za rządem Obrony narodowej do Tours, do Bordeaux i do Wersalu.

Waleryan Chełchowski wyszczególniał się nadewszystko wewnętrznem duchowem życiem, to jest wybitnym, jednolitym charakterem swoim chrześcianina. Gorący katolik, zarówno był gorącym patryotą, ale Polskę miłował w Bogu i dla Boga, gotów zawsze nieść dla niej wszystkiego rodzaju ofiary. Wykształcony umysłowo w różnych gałęziach wiedzy, trzymał się atoli oburącz religii, bezwarunkowo słuchając nauki Kościoła. W tej niezłomnej wierze swojej zamknął się jak w twierdzy na cały żywot, aby tem łacniej i bezpieczniej mógł bojować i wypełniać obowiązki codzienne katolika i Polaka. Jako wygnaniec, utrzymujący się z pracy rąk i zamknięty po całych dniach w biurze, oczywiście Waleryan ograniczony miał bardzo zakres działania i ograniczeńsze jeszcze środki. Pomimo to nie usuwał się nigdy od solidarności emigranta polskiego; w każdej poczciwej sprawie obywatelskiej czy chrześciańskiej, jaka się między nami wydarzyła, brał czynny udział, dawał ochotnie pracę wolnych godzin, dojrzałe rady, zabiegi gorliwe, pieniężne datki wedle możności i częściej nad możność, cierpiąc z tego powodu srogi nieraz niedostatek. Przemnogie miłosierne uczynki Waleryana wiadome są jeno Bogu, bo ślady o nich na piśmie zniszczył przed śmiercią. W stosunkach z ludźmi okazywał życzliwość, uprzejmość, usłużność, a obok tego powagę i surowość jako bojący się Boga, nie potakując nigdy niczyim błędom ni zgorszeniom. Z przyjaciółmi był czuły, rzewny, serdeczny, nie poufalący się jednak dla zbytniej skromności; doprawdy „przerażał swoją pokorą". I w takim wysokim nastroju ducha wytrwał Waleryan statecznie czterdzieści lat. Dolegliwości tułaczego żywota i dolegliwości własne z wątłej organizacyi, morzące tęsknoty porodzinne, poojczyste i jeszcze bardziej morzące

późniejsze zawody, szkody i opustoszenia w Ojczyźnie i w Kościele, wszystkie te stacye na krzyżowej swej drodze odbył cierpliwie, wpatrzony w Mistrza i w Pana, co na Niebie. Nie wątpił, że w sprawiedliwości swej pocieszy rychło już Kościół i Polskę. „*Labora et ora*“ mawiał. Pracował też w pocie czoła i modlił się strzeliście, wierząc duszą całą w skuteczność i wszechmoc modlitwy.

Śród mozołów i znojów długiego pielgrzymstwa, pod koniec zawodu, nie mało rozradował Bóg naszego Waleryana. Niespodzianie przybyła doń z kraju ku podzielaniu doli tułaczej rodzona siostra, pożegnana ongi dziecięciem w domu rodzicielskim. Odtąd nierozłączna ani na chwilę od ukochanego brata, lat kilkanaście umilała dni starzejącemu i steranemu na siłach, sercem siostry i okiem siostry śledząc za moralnemi i materyalnemi dlań wygodami. Istotnie służyła mu z osobnem wyrzeczeniem się klasztornej szarytki.

Okrom cnót i zalet moralnych posiadał Waleryan bogaty zasób wiadomości prawnych, historycznych i literackich, których nie chciał puszczać odłogiem. Pomimo lichego zdrowia i jednostajnie żmudnych zajęć biurowych ślęczał nad książkami, zamierzał obszerne dzieła naukowe, gromadził do nich notaty, kreślił luźne rozdziały, wyczekując na swobodniejsze czasy ku należytemu rzeczy opracowaniu.

Nie wiadomo dotąd, w jakim stanie pozostawił tę piśmienną spuściznę.[1]

Z początkiem r. 1872 Waleryan Chełchowski począł widocznie opadać na siłach. Choroba bolesna i skomplikowana rozwijała się szybko, groźnie, i pacyent postrzegł się zaraz, że z niej już nie wyjdzie. Odtąd cnoty chrześciańskie, co znamionowały żywot Waleryana, objawiły się w całej pełni. Wypogodniał, gotując się na dobrą śmierć. Zupełna i radosna uległość dla woli Bożej, łagodność i cierpliwość śród boleści, cicha ustawiczna modlitwa, pokorne zażywanie św. Sakramentów, spowiedzi, komunii, namaszczenia, budowały nas codziennie przez długi miesiąc. Ciągle przytomny i słodki w rozmowach z siostrą i przyjaciółmi-

[1] Spory memoryał po francusku: „O sposobach zapobieżenia szerzeniu się proletaryatu i o prawodawstwie pod tym względem u różnych narodów europejskich,“ z listem dedykacyjnym do Piusa IX-go Papieża, dawno był poprawiony i przepisany na czysto. Memoryał ten ma podobno pójść do druku.

napominał do miłości, do przebaczenia uraz, do wytrwania w nadziejach świętych i t. p. Żegnał się z nami z czułością ale uśmiechniony. Konanie miał sprawiedliwego, spokojnie, lekko usypiał w Panu. Umarł w Paryżu, dnia 30. maja, w święto Bożego Ciała.

Po s. p. Waleryanie Chełchowskim, jak po Ojcu Topolskim, Jańskim, Witwickim, Józefie Zaleskim, Korzeniowskim i po wielu innych pobożnych rodakach, zmarłych na emigracyi, pozostały autentyczne legendy ascetycznej treści, tyczące się miłosiernych uczynków, łask nadprzyrodzonych i t. p., o które tu żal się Boże otrącać mimochodem. Materyał ten niech zostanie dla przyszłego kontynuatora naszej pięknej książki: „Polska, Matka Świętych". Obecnie zatraciliśmy bodaj z starym rozumem Ojców zmysł rozumienia i opisywania tych rzeczy.

Bohdan Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Villepreux, 8. lipca 1872.

Mamciu najdroższa, najukochańsza, z nowego kącika najpierwszą kartkę wyprawiam do Ciebie. Przeprowadziłem się z Paryża zawczoraj, w sobotę. Nie źle mi tu jest, przestronnie, zaciszno i nieopodal od Okińczyców. Dajże Boże, abyśmy tu żyli w pokoju i w zgodzie, bez chorób wielkich, umartwień moralnych i materyalnych i t. p.! Wczoraj odwiedzili mnie synowie na nowej sadybie. Dyziowi, z łaski Bożej, udało się uzyskać stopień akademicki licencyata. A więc skończył nauki szkolne i wychodzi w świat, na którym, niestety, dziś tak mętno i smętno. Raduje się jak dziecko ze swojej podróży z Babcią, że zanim zasiędzie kędyś w biurze do pracy na powszedni chleb, zdarza mu się zwiedzić kawał Niemiec i Polski. . . . .

Muszę zacząć rozpakowywanie książek i papierów, aby mieć co potrzebniejsze pod ręką. Dlatego, duszko Mamciu, dość na dziś.

Całuję Twoje kolana po synowsku

Kochający

Józef Bohdan.

Do Doktora Feliksa Michałowskiego, w St. Etienne.

Villepreux, 17. lipca 1872 r.

. . . Że w ogólności, mój poczciwy Michu, rzadziej teraz pisuję do przyjaciół, wina nie pochodzi z serca, ale z kwaśnego humoru, po przeróżnych świeżych zawodach, a prawdziwiej ze zgryzliwości bodaj podeszłego wieku. W pojęciach moich religijnych, politycznych, literackich, targany ciągle przeciwnymi prądami, czuję, że przeżyłem się. Oddziaływać przeciw nim nie mam już siły, a sarkać na głupotę postępowców, doprawdy wstydzę się. Wiedzą oni dobrze, co czynią. Starcy są nie do walki, a starcy polscy nie mają nawet oprzeć się na kim w cudzym kraju, bo emigracya tu wymiera lub rozpierzcha się na wsze strony. Lepiej więc, bratku, w cichości chwalić Boga i milczeć do czasu. Cóż bo miłego, co pocieszającego w obecnym czasie powiedzieć można kochanym spółpielgrzymom, zarówno starzejącym się i osmutniałym? Owoż dlaczego milczę.

Osobiście doznałem, kochany Feliksie, wielu przykrości; w położeniu także mojem zaszły rozliczne zmiany. Jak widzisz, datuję do Ciebie list z Villepreux. Od 10 dni przeniosłem się tu-taj na stałe mieszkanie. Córka, zięć, wnuczka umilają mi tęskne, cierpkie dni starości na tułactwie. Mam osobny, przestronny dom z ogrodem, w którym sam samiutki zostaję w dzień i w nocy; zacisze, o jakiem za młodu marzyłem, pokąd nawiedzały mnie Muzy. Ale i bez Muz dzisiaj lubuję się w samotności po staremu. Błogo mi tu w dumaniach, dośpiewuję swój nieszpor od światowego gwaru. Dla młodszych synów nająłem szczupły ale ładny apartamencik na krańcach Paryża, daleko kędyś za Panteonem, w którym zawarowałem sobie łóżko i pokoik na rozhowory zimowe z kilkoma przyjaciółmi. W apartamenciku paryskim gospodaruje na razie samotny mój Karol. Dyzia zawczoraj wypuściłem w świat szeroki, na wypróbowanie lotu. Wyprawiłem go do Hyères do Babci Iwanowskiej, która przybrała sobie wnuczka na towarzysza podróży przez północne Włochy, Tyrol do Wiednia i do Krakowa. Chcę, aby należycie poznał całą Galicyę i zabiegł nawet na dziesiątek dni do Warszawy. . . . .

. . . .

Nowiny ze świata, to chyba Ty będziesz mi dosyłał. Głucho tu jak w chutorze ukraińskim śród stepu. . . . .

Pozdrawiam i ściskam i t. d.

J. B. Zaleski.

Do Pana Kazimierza Zaleskiego, w Sandrakach.

Villepreux, 19. lipca 1872 r.

Kochany mój Kazimierzu, dowiaduję się z boku, aż z Hyères, żeś na uroczystość familijną zjechał do Sandrak. Biorę serdeczny spółudział w tej uroczystości Waszej i cieszę się dusznie z Twoich osobistych wakacyi na ziemi rodzinnej, po kilku leciech ustawnych znojów i bojów między cudzymi. . . . .

Z daty tego listu, domyślisz się, Kaziu, że osiadłem przy córce, która od niedawnego czasu powiła mi wnuczkę. Istotnie, od dziesiątka dni, przeniosłem się tutaj z Paryża na mieszkanie. Mam osobny domek z ogródkiem, w którym siedzę sam samiutki, doprawdy jak dziad ukraiński w kurzeniu, śród zielonego stepu. Po dawnemu lubuję się w ciszy, niestety! francuskiego sioła. Dla synów nająłem ładny apartamencik w Paryżu, na ulicy Berthollet nr. 19, excypując i dla siebie pokoik na odwiedziny od czasu do czasu. Tym sposobem synowie to córka po kolei będą ugaszczali starego ojca. Oczywiście potrzebniejszy tu jestem przy córce, której mąż uwija się po całych dniach po okolicy za chlebem. Józia przykładnie pełni obowiązki swoje macierzyńskie, sama karmi dziecię i dotąd nie szkodzi to jej zdrowiu, choć zawżdy jednaka wątła i bezsilna. Obecność moja pokrzepia nieboge i umila trochę samotność i brak dobrańszego towarzystwa. . . . .
. . . .

Po ojcowsku tulę Cię do serca i błogosławię.

J. B. Zaleski.

Do Dra Feliksa Michałowskiego, w St. Etienne.

Villepreux, 7. sierpnia 1872 r.

Kochany Feliksie, od kilkunastu dni myślą i sercem gonię jeno za moimi podróżnikami, to jest za Felicyą Iwanowską i za

Dyziem. Młody mój turysta zwiedził kawał Włoch, jako to Genuę, Medyolan, przejechał Tyrol włoski i niemiecki, część Bawaryi ku Wiedniowi: obecnie bawi w Krakowie. Ze wszystkich miejsc tych i okolic przesyłał mi obszerne relacye, nieco niedojrzałe, ale pełne uniesień i oczarowania. Oczywiście musiałem oddziaływać przeciw chwilowym wrażeniom i prostować pojęcia o rzeczach. . . . .

Jakaż to męka korespondować z przyjaciółmi pożegnanymi przed 46 laty! Co wzruszeń, przypomnień, bolesnych targań w duszy po zawiedzionych nadziejach całego życia. Lwów niewątpliwie wyda się Dyziowi milszym, wspanialszym, cywilizowańszym od Krakowa. I do Lwowa wysłałem dlań listy. Chciałbym, aby się w nim rozmiłował na prawdę, a nadewszystko, aby się należycie wywiedział, ażali po roku pilnej pracy, nie udałoby mu się zdać egzaminów na miejscu i uzyskać stopień akademicki, któryby mu dał możność ubiegania się o jaki urzędzik w kraju. We Francyi trudna dlań sprawa i w ogólności nie ma po co Polakom, osobliwie młodym, dłużej tu koczować. Te wszystkie korowody z Dyziem pochłaniały mi czas, że nie mogłem Ci dotąd, Feliksie, odpowiedzieć na Twój poczciwy ostatni list.

Bogiem a prawdą niema o czem bardzo i donosić z Villepreux. Józia, dzięki Bogu, lepiej na zdrowiu. Młode małżeństwo żyje zawżdy w rozkochaniu i przykładnej harmonii. Wnuczka chowa się najwyśmieniciej. Biedny Aleksander, co dosłownie w pocie czoła haruje na kawałek chleba; od rana do nocy poza domem pieszo i konno. Okolica też zdaje mi się jałową do zarobku. Ja po całych dniach na pustkowiu mojem, przychodzę tylko do dzieci na śniadanie i na obiad. Rzadko odwiedzam Paryż. Jednak dziesięć dni temu, na pożegnanie Ordęgów, odjeżdżających do kraju, byłem u Gałęzowskich na sutym obiedzie. Zabiegłem po drodze do Bronisława Zaleskiego. . . . .

Jak doskwierać mi zacznie większa bieda, pojadę do Galicyi, kędyś u krewnych lub przyjaciół znajdę przytułek, jako stary ex-emigrant. Chowaj Boże! abym pragnął lub przyjmował owacye literackie, o jakich mi pisałeś. Od najmłodszych lat miałem wstręt do nich nieprzezwyciężony. Lubowałem śród stepowego bezludzia. Kilka serc kochających, do których liczę i Twoje, wystarczą mi za wrzaski i oklaski tłumu.

Pozdrawiam i t. d.

J. B. Zaleski.

Do Doktora Feliksa Michałowskiego, w St. Etienne.

Villepreux, 19. sierpnia 1872 r.

Kochany Feliksie, interes Twój księgarski poruczyłem Karolowi . . . .

. . . .

. . . .

Józia jako tako na zdrowiu — ale dziecina okrutnie ją męczy . . . . Z tem wszystkiem natura wilka ciągnie do lasu — to lubuję i w samotności. Chowaj Boże, nie tetryczeję wcale. Dawno nie byłem w takiem pogodnem usposobieniu. Pomimo tego smutków co niemiara. Psotny czas ze dnia na dzień rozrywa nitki, co wiązały mnie do ziemi. W tym czasie utraciłem kilku ze starych przyjaciół. Odumarli mnie Rufin Piotrowski, Waleryan Chełchowski, Konstancya Tomaszewska, ze starej emigracyi. Babcia Iwanowska niebezpiecznie chora w Krakowie itp. Święć się wola Boża, ale pomimo rezygnacyi, ciosy arcybolesne dla serca w późnej mojej starości. Ty, Michu, ze swą żoneczką, a ja z moją laseczką przechadzać się będziem po świecie, jak śpiewał nieboszczyk Brodziński.

Dyzio, z powodu choroby Babuni, odrzec się musi Warszawy, a bodaj czy pojedzie i do Lwowa. Przykroby mi było, gdyby nie mógł odwiedzić tego ostatniego miasta, i tem bardziej, że mieliśmy tam przeróżne widoki na przyszłość. Ks. Jełowicki gości w Krakowie, ale zamierza udać się do Jazłowca, który leży nie na Podolu Moskiewskiem ale Galicyjskiem koło Husiatyna. Zdaje się, że nie mam już więcej nowin z mojego zakątka.

Pozdrawiam i t. d.

Vale et ama

J. B. Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Krakowie.

Villepreux, 27. sierpnia 1872.

Droga, najdroższa Mamciu, cieszę się, że z księgarzami dobija się targ. Mamcia odzyska trochę swobody i, co za tem idzie.

dużo wypogodzi się. Niestety lato tegoroczne jakieś rozpłakane, chmurne, chłodne, dżdżyste a i jesień tuż tuż za plecyma. Oczywiście nie można dłużej Mamci popasać w Krakowie. Uciekajcież zozulki moje kędyś do cieplic, pod niebo łaskawsze ku Szwajcaryi lub aż ku Prowancyi.

U mnie dawny krzyż na ramieniu dociska dziś srożej. Józi nagle pogorszyło się na zdrowiu . . . . Dla Dyzia, bodaj czas do Lwowa. Wolałbym, aby synowie moi osiedlili się w Galicyi, z tem wszystkiem jeśli się to nie uda, niech pracują na chleb w ziemi rodzinnej, kędy się porodzili, to jest we Francyi. Proszę Boga, aby mi pozwolił dożyć ustalenia się ich losu, ale nie moja jeno Boża niech się święci wola!

Całuję i t. d.

Józef Bohdan.

Do Pana Jana Krechowieckiego, we Lwowie.

Villepreux, 10. września 1872.

Bóg Ci zapłać, stary druhu, za ojcowskie przyjęcie mego dziecka. Jakżebym rad, mój Janie, pisać do Ciebie obszerniej i wedle serca, ale do tego potrzeba jasnego dnia i pogody. Od Dyonizego tymczasem dowiesz się, choć ogólnie, o zdrowiu mojem i powodzeniu, bo co się święci w „jaźni moralnej“, nie podobna wysłowić. W zmierzchu mego dnia, bodaj że już i nie dowidzam. Smętno bardzo na świecie. Mętno w głowach pokoleń i mętno w ich uczuciach: a nie chcą uznać i uszanować prawdy Bożej, co sama jeno zbawia. Postęp słynny pędzi ludzkość prosto ku zdziczeniu. Patrz na szaleństwa wieku mokremi oczyma. . . . I wtenczas tylko błogo mi, kiedy westchnę do Nieba. . . .

Twój

J. B. Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Krakowie.

Villepreux. 13. września 1872.

Najukochańsza Mamciu . . . . . od dziś weszła do mego serca dobra otucha, bo wyczytałem w „Czasie" krakowskim, że p. Cezar przyjechał. Otóż Mamcia załatwi rychło swoje interesa i podąży kędyś do Szwajcaryi. Znowu duszka będzie weselsza i bliższa ode mnie. Sądzę, że powołasz zaraz Dyzia do siebie z urlopu. Wątpię, aby on co wskórał we Lwowie, pomimo poczciwego interesowania się Maurycego Dzieduszyckiego, który mnie zbudował bardzo i rozrzewnił w duszy tem wylaniem się dla mego dziecka. Dyziowi bodaj przyjdzie na cały żywot zostać się we Francyi, kędy się urodził, wbrew woli mojej i patryotycznym życzeniom. Święć się wolo Boża!

Ja biję się ze smutnemi myślami z powodu choroby Józi. Teraz niby to lepiej, ale zawżdy wątła. Mamciu, siedem lat już z nią zostaję prawdziwie na torturach, pod ciągłą grozą, a grzesznik wielki nie umiem u Boga wymodlić dla niebogi ratunku i wyzdrowienia. . . . .

Całuję i t. d.

Józef Bohdan.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Krakowie.

Villepreux (Seine et Oise), 17. września 1872.

Najukochańsza Mamciu! Bóg Tobie zapłać za Dyziowe listy z Twoim własnoręcznym dopiskiem. Smutny i przygnębiony byłem w duszy, toż uradowałem się podwójnie i niewymownym sposobem, odbierając jednocześnie dobre nowiny o polepszeniu się zdrowia jedynaczki najdroższej, i o sukcesie we Lwowie mego syna, który winien jest łaskawcom swoim Panom Maurycemu Dzieduszyckiemu i Filipowi Zaleskiemu. Toż wykrzyknąłem ze łzami w oczach: „Chwała, chwała, chwała Panu na wysokościach a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!"

Teraz, duszko Mamciu, skoro Cię Bóg miłosierny pokrzepił cudownie na siłach, trzeba myśleć o spiesznym odwrocie z Kra-

kowa ku cieplejszym stronom, bo jesień goni już za plecyma. Powolutku tedy, a bacznie, a wygodnie, niech się Mamcia kieruje kędyś nad Ren lub do Szwajcaryi. . . . .

. . . .

Rozrzewniam się w sercu dobrem przyjęciem Dyzia we Lwowie przez rodaków starych i młodych. Dużo znalazł on przyjaciół. Pan Maurycy, to prawowierny autor żywotów Oleśnickiego, Skargi itp. P. Filip, toć rodzony siostrzeniec O. Karola Antoniewicza, od którego imienia nazwałem i mego Karolka, bo urodził się, kiedy miałem widzenie o śmierci świątobliwego Jezuity. A tenże Janko? Stary, zacny obywatel i męczennik, który naumyślnie przyjechał do Lwowa, aby zabrać Dyzia do siebie na wieś. A żyłem z nim kilka jeno dni za młodu, podczas burzy strasznej, co nas rozmiotła po szerokim świecie. Staropolska gościnność kwitnie w pełni. . . . . . .

Całuję i t. d.

Józef Bohdan.

Do Doktora Feliksa Michałowskiego, w St. Etienne.

Villepreux, 10. października 1872 r.

Kochany Feliksie, bywają dni w życiu, osobliwie na starość, tak jednostajnie szare, smętne, że najlepiej bodaj wtedy zacisnąć usta i nie mówić o nich, ale wyczekiwać w cierpliwości, aż się przesilą. Zabłysną niewątpliwie dni pogodniejsze, ale chyba za łaską Bożą. W takiej mgle gęstej, w takiej omroce dusznej pędzę od czasu ponownej choroby Józi. Dlatego to, mój Michu, wolę milczeć uporczywie, niż lamentować przed przyjaciółmi.

Od przeniesienia się jednak z Paryża do Villepreux, Józia nasza ma się niby to lepiej, bo przestała tęsknić i płakać za niemowlątkiem swojem i za mężem. Urządziliśmy tu dla niej przestronny pokój, dobrze ogrzany, i wyścielony dywanem, wedle przepisów paryskich lekarzy. Krząta się też nieboga potroszę, ale po dawnemu bezsilna, ciągle mżąca i jakoby przygnębiona z wewnątrz. Czuć w sercu ojcowskiem taki stan niemocy kochanego dziecka, patrzeć, jak więdnie i schnie mi w oczach, to ból nad bole, ból, którego nawet i cała rezygnacya chrześciańska nie na długo ukoi.

Z powodu Józi, jak widzisz, Feliksie, jestem bardzo utrapiony tu na wsi . . . . Odleciały z gniazda poczciwy mój Dyzio buja obecnie po Szwajcaryi nad Lemanem, ale lada dzień wróci już do nas. Obiegł młodzik duży kawał Europy i przetarł się nieco między ludźmi. W ojczyźnie u moich przyjaciół pieszczono go jak rodzone dziecko, i w ogólności znalazł wszędzie serdeczne przyjęcie śród rodaków i starych i młodych. Ugoszczali go dygnitarze galicyjscy i literaci, nie skąpiąc rad i zachęty. Gołuchowski, L. Sapieha, A. Fredro itp. dawali mu posłuchanie (zapewnie przez wzgląd na mnie, za co im niewypowiedzianie wdzięczen jestem). Dyzio na prawdę rozmiłował się w Polsce, to radowałbym się z całej duszy, aby raz na zawsze zapisał się w służbę publiczną, zamiast w zawieruszonej Francyi szukać chleba, to jest przy jakimś *avoué* zostać komikiem, jak mawiał s. p. Biały Królik. Otóż potrzeba mu jeszcze przez parę lat płużyć w żmudnej, nudnej i znojnej pracy studenckiej na Uniwersytecie. Zresztą obietnice pańskie na pstrym koniu. . . . . . .

W Paryżu nie często bywam. Zawczoraj odbyły się tam ślubowiny Xawerego Gałęzowskiego z Tamberlikówna. Był na nich Aleksander i opowiadał nam o przepychach obrzędu. Bronisław dotąd gości w Krakowie.

Pozdrawiam i t. d.

J. B. Zaleski.

Do Pana Jana Krechowieckiego, we Lwowie.

Villepreux, 22. października 1872.

Kochany, serdeczny bracie mój Janie! Nie mogę się nasłuchać opowiadań Dyzia o Was. Z podróży jego do kraju jedyna bodaj będzie korzyść, żeśmy się odnaleźli po leciech i zlali jakby w jedną rodzinę. Znam po imieniu Twoje dzieci, wiem szczegóły o każdego cnotach i przymiotach, jednem słowem wtajemniczył mnie Dyzio w cały Wasz domowy światek. Teraz dopiero będziemy mogli swobodnie porozumieć się i listować. Za życzliwość i miłość dla Dyzia z głębi duszy Wam dziękuję. Oczywiście synowi okazaliście uczucia, jakie żywicie w sercach dla Ojca. Seweryn Goszczyński musiał już wrócić do Lwowa: doręcz mu li-

ścik odemnie. Obejmuję Ciebie, Janie mój, za szyję i całuję z czułością brata i druha.

Twój

Bohdan.

Do Pana Seweryna Goszczyńskiego, we Lwowie.

Villepreux, 22. października 1872 r.

Kochany Sewerynie, wiem od mego syna Dyonizego, że Cię przykro ubodło moje milczenie. Otóż w tem nie tak wielka moja wina. Wiedziałem, że za powrotem do kraju wsiądziesz zaraz na kałamaszę ku odnalezieniu starych kątów i ku przypomnieniu się dawno pożegnanym przyjaciołom i towarzyszom. Szukajże, myślałem, wiatra w polu. Skądinąd znów, rychło coś po Twoim stąd egzodusie, uderzyły znienacka na mnie mnogie utrapienia i jednocześnie ukartował się plan wycieczki Dyzia w strony ojczyste. Rozumiałem, że syn, świadek i powiernik trosk codziennych, żywym głosem lepiej i dokładniej zdoła Cię objaśnić o mnie i o Paryżu, niż doraźna i mętna moja korespondencya. Zdradna choroba Józi była się groźnie odnowiła i nawiała mi do serca smutków co niemiara. Duch ducha czuje. Bodaj obadwa, mój drogi, od dawna już wtorujem z głębi duszy Malczewskiemu:

„Jest cierniów, głogów, kolców niemało w tem życiu
„I więcej niż na jawie płynie łez w ukryciu.“

Zdaje się, że te ogólne uwagi wystarczą Ci na przeprosiny ode mnie.

Czytywałem w „Czasie“ o drezdeńskich, krakowskich i lwowskich owacyach dla Ciebie, Sewerynie, i radowałem się niemi; radowałem się, chowaj Boże, nie dla przyjemności, jaką Ci sprawić mogły, bo czułem, że na starość i owacye nużą, gdzie tam wydają się jak pobożnemu pielgrzymowi pusta wrzawa i kurzawa po drodze ku miastu, słynnemu cudami. Radowałem się tym objawem ducha publicznego dla samejże Polski. Widziałem, że młodsze pokolenia rodaków nie tak bardzo odrodziły się od dawniejszych, skoro zdolne są jeszcze i zapału i czci dla siwych zasłużonych głów, skoro wolą wieszczów swoich wieńczyć, niż męczy-

jak ongi w Izraelu. Złe posiewy w Polsce podobno wybujały, ale obok kąkolu musi być dużo i zdrowego zboża. Pole oto okala Cię rozlegle ku nowej gospodarce. Jeśli się, Sewerynie, czujesz dotąd krzepkim, jak tutejszy Thiers, płuż po niem śmiało. Ja dodaję tylko z daleka nasze swojskie życzenie: „Szczęść Ci Boże, stary kmieciu!“

Zmieniam szpilkę żelazną na gęsie pióro, aby Ci, Sewerynie, przesłać echo jeszcze od Sekwany. Emigracya nasza stara ze dnia na dzień przycicha, gdzie zaś, oprószona śniegiem taje, wsiaka w ziemię. Młodsza rozprasza się na cztery wiatry, ale to są szczepki dopiero a latorostki. Wspaniały las nasz nadsekwański, pełen, pamiętasz, ogromnych dębów, co rozsyłały niedawno szum i grzechot groźny na około, las ten przerzadził się znacznie, do niepoznania. Wygląda teraz jak pospolita ukraińska dąbrowa. Kilkanaście lub kilkadziesiąt białobrodych kolegów snuje się po dawnemu po ulicach Paryża. Spotykam się z nimi w uczuciu dziwnie rzewnem czterdziestoletniego braterstwa na cudzej ziemi. Ze znajomych spólnych: Gałęzowski Seweryn z synowcem Józefem za parę tygodni puszcza się do Meksyku na wiele, wiele miesięcy. Januszewiczostwo chyrlają oboje, a nie duższy od nich i poczciwy nasz Korabiewicz. Brawacki na oboje oczu oślepł i bieduje w jakimś podobno szpitalu. Nieborak Ludwik Nabielak utracił niedawno ulubione dziecko, najmłodszą córkę, to i sam się po tej stracie znacznie pochylił ku ziemi. Rumiany Teodor Rutkowski chorował ciężko, bez nadziei prawie wyzdrowienia, ale młodszy od nas, wbrew Eskulapom, doprawdy cudem podźwignął się na nogi. Ordęgowie wynieśli się do Wrocławia. Chodźko Aleksander gości także kędyś za granicą. Sami tylko Mikołaj Kamieński i Eustachy Januszkiewicz kwitną w pełni pomiędzy nami, jak dwie białe kamelie itd. itd. Mógłbym tak jednego po drugim wyliczyć wszystkich spółregestrowców na tułactwie . . .

Najsrożej przebolałem tego lata stratę miłych moich Waleryana Chełchowskiego i Rufina Piotrowskiego. Rufin, pamiętasz Sewerynie, ongi na Batignolles, za życia jeszcze ś. p. Zofii, był przyjacielem całego domu i codziennym u nas gościem. Panie! świeć nad jego przezacną duszą! . .

Upewnił mnie Dyzio, że na zimowe leże obrałeś dla siebie Lwów i że masz już nagotowaną tam śliczną kwaterę. Mój drogi, najpierwsza rzecz to Twój adres, abyśmy w korespondencyach nie potrzebowali cudzego pośrednictwa. Potem donieś mi, jak się masz na zdrowiu i fizycznem i moralnem? Co dobrego porabiasz?

Jaki jest obecnie kierunek opinii i ruch umysłów na Czerwonej Rusi? Tudzież o wystających ludziach i sprawach walniejszych, co na stole itp. . . . Czy na prawdę liberalizm wiedeński buszuje? Podobno, że żydostwo mnoży się i rozwielmoża bardzo po Galicyi. Zaiste wielki jest duch Izraelski, ale wrogi Chrystusowi Panu, to lękam się szkód w naszej Polsce. Dużo mi opowiadał Dyonizy o kraju, ale on jest *incompetens* na sędziego i nawet na podsędka. Jak wróci do Galicyi, (jeśli wróci) a zgryzie swój twardy orzech, to jest douczy się prawnictwa i wyuczy się *expedite* niemczyzny, to wtedy jeno popytamy go o zdanie i sąd w rzeczach poważniejszych.

Zacnego Augusta uszanuj, ucałuj ode mnie i za mnie. Podziękuj mu za ugoszczenie mojego Francuzika. Powiedz, mój drogi, Augustowi, że lubo teraz zasłynął rozgłośnie jako uczony historyk, ja go kocham w dawnej skórze, to jest w mundurku wiarusa, poetyzującego z naburmuszoną wargą i dobrodusznym uśmiechem *à la* Brodziński. Augusta i dziś po leciech rozpoznałbym, jestem pewien, na ulicy, pomimo, że czas psotnik wielki, ubielił mu włosy i czoło bodaj bruzdami poorał. Zawżdy on młodszy od nas.

Podziękuj także, Sewerynie, za mego Dyzia, panu Agatonowi, Marcelemu Dobrowolskiemu, który go leczył w Krakowie. Osobno poczciwego Henryka Jankę ujmij w oboje ramiona i uściskaj z czułością za trud podróżny ze wsi do Lwowa, tudzież za łaski, świadczone w Hoszanach młodzikowi. Oczywiście spólni przyjaciele nasi czynili to synowi w myśli okazania serca ku ojcu. Bóg im zapłać! Ze wzruszeniem po ojcowsku, mój drogi, podziękuj kochanym za mnie: niech wiedzą wszyscy o solidarności między sobą starych, humańskich druhów.

Odtąd na listy Twoje, kochany Sewerynie, będę odpowiadał *stante pede*, abyś nie wyrzekał na mnie przed ludźmi. Na razie nie mam co więcej do pisania. I tak za długo bodaj znużę Twoje oczy moim nieczytelnym maczkiem.

Całuję Ciebie, druhu mój, w uczuciu niewysłowionem wiekowej przyjaźni.

Twój

J. B. Zaleski.

Do Pana Bronisława Zaleskiego. w Paryżu.

Villepreux. 7. listopada 1872 r.

Kochany Bronisławie, obiedwie Twoje expedycye odebrałem jednocześnie dzisiaj rano. Podpisane zapomogi dla naszych weteranów odsyłam co spieszniej.

Norwid żąda. abym podpisał z nim protestacyę jego do Tańskiego, który w jakimś dzienniku wojskowym nazwał Sadyka baszę poetą polskim. Protestacya Norwida bardzo zgrabna — ale nie warto, zdaje mi się, o taką bagatelę bojować. — Obyczajem swoim p. Cypryan napisał niewyraźnie swój adres. Nie wiem. czy mieszka pod Nr. 25 lub 86 boul de la Chapelle.

U nas w domu jednaki stan. Józia nie gorzej — a wnuczka prosperuje. Od wszystkich zasyłam Ci pozdrowienia. Wyglądamy dziś na przyjazd Kostusi Rzewuskiej z córką i z Dyziem. który niebawem zacznie praktykować przy p. Lacroix. *avoué* paryskim.

Ściskam Cię serdecznie

Bohdan.

Do Pana Bronisława Zaleskiego, w Paryżu.

Villepreux. 17. grudnia 1872 r.

. . . . . Nie wiem, drogi mój. co Ci mam odpowiedzieć na Twoją literacką propozycyę. Chowaj Boże. abym przez pyszałkostwo wzdragał się Twego Rocznika. i owszem byłoby mi chlubnie i miło wziąć udział z Tobą w pięknej i pożytecznej książce. Niestety, pod koniec życia czuję, że ociężałem i zjałowiałem na umyśle. Więdną już u mnie myśli a poniekąd i uczucia. Nawykłem byłem dumać i pisać w podniesieniu ducha, pod inspiracyą. Otóż tej inspiracyi od wielu lat nie mogę wymodlić. Nie mogę doskonale uciszyć się w duszy ani na kilkanaście nawet dni. ku milszej pracy. Stąd to zowąd powieje zaraz niepomyślny wiatr. co zniweczy moje nadzieje. Snuję sieć swoją (śpiewałem za młodu). wiatry wioną i rozdmuchną. Snuję znów sieć cieniuchną. by ją znowu wiatry zwiały. A cóż dopiero śpiewać dzisiaj. przy dolegli-

wościach mego wieku, przy kłopotach rodzicielskich, śród bezbożnego rozgwaru świata itd. itd. I nie może być inaczej... skorom się urodził z poetów *genus irritabile*, z duszą wrażliwą i drażliwą nad wszelki wyraz. Ja dla tej nieszczęsnej drażliwości czy pierzchliwości nie mogłem nigdy wykończyć większego poematu, chociaż bazgrałem dużo na wiele tomów. Wiedział o tej ułomności mego umysłu i wielki nasz Adam. To cóż Ci po tem, kochany Bronisławie, gdybyś i wydrukował luźny urywek jaki mój w lichej, lirycznej prozie, a później patrzał na kompletne literackie *fiasco* sędziwego swego przyjaciela, co żył i bratał się z wielkimi spółczesnymi? Myślę jednak o Pamiętniku. Porządkuję dawne korespondencye, chwytam notaty do minionych dziejów. Naradzimy się i o tem. . . . .

Ściskam Cię i t. d.

Twój stary

J. B. Zaleski.

Do D-ra Feliksa Michałowskiego, w St. Etienne.

Villepreux, 19. grudnia 1872.

Kochany Feliksie — wspominamy Ciebie w Villepreux często i czule, ale korespondencya idzie opieszalej, bo na zapadłym, głuchym partykularzu francuskim nie ma właściwie o czem donosić. Że Cię kochamy, powtórzyliśmy już tysiąckrotnie. Że żyjem i że Józi nie gorzej na zdrowiu, domyślasz się sam przez się, skoro nie dzwonim i nie kwilim na dawną nutę. Sztuki łamane, ekwilibryczne, wersalskie, znasz tak dobrze jak i my, a może i lepiej jak my, bo w St. Etienne więcej dzienników, niż w pospolitem siole. Zresztą nieborak Aleksander ciągle w rozgonach po chorych swoich okolicznych, a ja stary borsuk na zimę ssę łapy w ciepłej norze. Do Paryża bardzo rzadko zabiegamy i na krótko jak po ogień.

Obyczajem szlachcica wioskowego korzystam oto mój drogi z okazyi — z okazyi nadchodzących świąt i Nowego Roku, aby Cię uściskać, ucałować i złożyć szczere, serdeczne życzenia od całej mojej rodzinki, która Cię poważa, kocha i uważa za swego

po ojcu i po matce. Jako patryarcha czyli po polsku, jako czeledni ojciec dwojga tu pokoleń, przesyłam Ci po staroświecku w dodatku opłatek z winszowaniami, na znak, żeś nasz własny, a mieszkający opodal od domowego gronka. Niech Cię Bóg darzy, bratku nasz, zdrowiem i wszelkiemi pomyślnościami w życiu doczesnem i na wieczność. Amen. . . . .

. . . .

Dyonizy został nareszcie rodowitym Francuzem. Onegdaj wykonał już przysięgę w Palais de Justice. Jest więc *Avocat à la Cour d'Appel.* Szczęść mu Boże!

Ja starzeję się galopem. Ociężałem, osowiałem. Tracę siły fizyczne i hłuzdy literackie. Dużo stąd upokorzenia, lecz nie sarkam na nie, bo nie ma rady przeciw prawu przyrodzonemu. Świeć się, świeć się wieku srebrny.

Przyciskam Cię i t. d.

Twój

J. B. Zaleski.

Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

Villepreux, 22. grudnia 1872.

Mamciu moja, najosobliwiej na tym padole łez podarowana mi od Boga na Mamcię, a więc Mamciu najukochańsza, z głuchego, zapadłego sioła pod Wersalem, szlę ku Tobie przy opłatku staropolskim winszowania Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Szlę je nie sam jeden, ale jako patryarcha, to jest czeledni ojciec od różnogwarnej rzeszy mojej, od synów, córki, zięcia, wnuczki. Rękojmia szczerości tych winszowań tkwi głęboko w sercu mojem. Przeżyliśmy oto, Mamciu, jeszcze jeden rok na ziemi z policzonych już nam niewielu lat. Czegoż Ci mam życzyć, Mamciu i Babciu nasza najmilsza? Och, rezygnacyi chyba, rezygnacyi chrześciańskiej w każdej chwili i na każdem miejscu. I w tym nowym Roku Pańskim, jako katolicy, jako Polacy i jako staruszkowie, wycierpimy dużo, dużo, bo widzim, na co się zanosi na tym świecie. Zaprawdę jesteśmy jakoby w czasach antychry-

stowych. Będziemy schnąć od smutków, ale miejmy dobrą otuchę. Pan Bóg wielki jest, większy niż pan Rymsza i pan Bismark i pan Thiers. *Sursum corda!* w świętym krzyżu Pańskim zwyciężym. . . . .
. . . .

Ścielę się do nóg Mamci i całuję przy święcie Rodzin.

Józef Bohdan.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Poznanie i kształcenie charakteru.

(Ciąg dalszy).

Gdy idzie o zaparcie się, o ofiarę, o poświęcenie swego „ja“ i wyrzeczenie się życia własnego, żadne inne uczucie, prócz uczucia miłości i czci dla Boga, nie może nam powiedzieć skutecznie: „*Musisz, powinieneś!...*“ Żadna bowiem inna istota, prócz Boga, nie dała nam tego życia, żadna przeto nie może nam tu rozkazywać.

To też podstawą i fundamentem charakteru jest uczucie najgłębszej czci i miłości dla Boga, bo ono dopiero wkłada na nas skutecznie jarzmo powinności i obowiązku.

Wszystkie inne dobra, choćby najszczytniejsze nawet, nęcą i pociągają nas wprawdzie, ale nie mogą nam rozkazywać. Lubimy je, ale nie chcemy ich słuchać. Uwielbiam naprzykład muzykę, poezyę, sztukę, przyrodę, naukę, ale nie myślę dla nich poświęcać swego życia, bo ono więcej warte, niż wszystkie te dobra razem wzięte.

Nawet ojczyzna bez Boga nie może mnie nakłonić do tej ofiary, bo wtedy znaczyłoby to tyle, co poświęcić się dla takich samych, jak ja ludzi, słuchać podobnych, a może nawet mniej rozumnych odemnie istot.

Tylko Dobro Najwyższe warte jest tego, aby je słuchać bez zastrzeżeń, aby poświęcić dla Niego życie, losy i szczęście swoje.

Tylko Bóg jeden ma prawo rozkazywać mi bezwzględnie i wymagać odemnie ofiary zupełnej.

Nie wystarcza tu jednak sama idea, czyli poznanie Bóstwa, ale potrzeba odczucia, czyli umiłowania Boga, potrzeba, aby idea ta przeszła w sferę uczuć. Jak to bowiem słusznie zauważył p. Le Bon: „Idee wtedy dopiero wywierają swój wpływ na duszę narodu, gdy po bardzo długiem wyrabianiu się, zeszły z ruchliwych sfer myśli w stałą i bezwiedną sferę uczuć, w której wytwarzają się motywy czynów. Należą one wówczas już do charakteru i mogą wpływać na postępowanie." [1])

Skoro idea Boga, poznana i zgłębiona należycie, ze sfery myśli przejdzie w sferę uczuć i przeniknie serce człowieka, rzec można, że charakter tego człowieka jest zapewniony. Nic już nie jest w stanie oprzeć się potędze jego ducha i sile jego woli.

Jakże trudno jednak o to na świecie, jakże wielu z tych nawet, którzy zachowują formy i przepisy chrześcijanizmu, dalecy są jeszcze od tego królestwa bożego w sercach ludzkich!

Przyczyna niedostateczne poznanie Boga a przytem inne uczucia, które miotają naszem sercem i zwolna biorą je w niewolę. A najprzód nieznajomość Boga, czyli ignorancya teologiczna, tak dziś powszechna na świecie, niestety. Skoro tylko poznamy należycie Dobro Najwyższe, pojmujemy wnet obowiązek słuchania, miłowania i naśladowania Go we wszystkiem. Gdy Mu wiernie służymy, doznajemy pociechy, zadowolenia i innych uczuć moralnych, które stanowią najlepszą podporę w walce z pokusami i są największą pociechą w nieszczęściu. Gdy sprzeciwiamy Mu się i gwałcimy Jego prawa, doznajemy wyrzutów sumienia, które pobudzają nas do żalu i skruchy, sprowadzając tem samem na drogę cnoty i prawdy.

Wszystkich tych uczuć szlachetnych pozbawiony jest ten, kto Boga nie zna. Cóż wobec tego powiedzieć o t. z. agnostycyzmie Spencera, który z zasady odrzuca i z góry się wyrzeka poznania i znajomości Boga, jako czegoś zupełnie niemożebnego dla człowieka?... System ten uniemożliwia wprost prawidłowy rozwój charakterów.

Nad opłakanymi skutkami tego systemu ubolewa sam autor, który w ostatniem swem przedśmiertnem (jak mówi) dziele skarży się na „rebarbaryzacyę Europy", czyli na powrót do barbarzyństwa

[1]) „Psychologia rozwoju narodów", str. 123

narodów europejskich. Dziś, wedle Spencera, zanika na świecie cnota, uczciwość, sprawiedliwość, religia, słowem ludzkość demoralizuje się coraz bardziej, a natura człowieka coraz więcej się pogrubia, zamiast się cywilizować. Jak się to stało?

„Zanadto wielką przewagę“ — mówi Spencer — „dano wykształceniu naukowemu, zaniedbano zaś zupełnie wykształcenie charakterów, czyli wychowanie. Jednostronne rozwijanie umysłu doprowadza do zaniedbania gruntu moralnego, zaczem poszła zbyteczność religii.“ [1])

Najważniejszą rolę w tem zdziczeniu (po rozkiełznanych instynktach) odgrywają zwyrodniałe uczucia ludzkie, oraz nieprawidłowy ich rozwój wskutek zaniedbania religii i zapoznania znajomości Boga.

Uczucia fizyczne powstają w nas niezależnie od rozumu, a nawet bez współudziału zmysłów: głód i zimno odczuwa nawet ślepy i niemy od urodzenia.

Uczucia psychiczne również powstają nieraz bez współudziału rozumu, gdyż posiadają je nawet zwierzęta, u których na tej podstawie ewolucyoniści dopatrują się zaczątków moralności. Zarówno przeto jedne jak i drugie uczucia panują nad nami, zanim przyjdziemy do rozumu. A ponieważ bardzo wiele ludzi zaniedbuje prawidłowy rozwój władz umysłowych i pozostaje do śmierci w mniejszej lub większej ciemnocie, przeto bardzo wielu z nich do końca życia kieruje się wyłącznie niemal instynktem i uczuciami niższego rzędu, niestety. Tymczasem jak instynkty, aby nie unosiły nas zbytnio, powinny być miarkowane przez pewne zasady, tak samo uczucia, aby nie stały się szkodliwemi, powinny być opanowane przez rozum i wolę. W przeciwnym bowiem razie następuje zwyrodnienie uczuć, które tak samo może człowieka doprowadzić do zbydlęcenia, jak zwyrodnienie instynktów.

Ani fizyczne, ani psychiczne, ani tem bardziej umysłowe uczucia same w sobie złe nie są. Gdy jednak rozum przestaje nad niemi panować, gdy one górę nad nim biorą, uczucia te wyrodnieją i tak samo jak zwyrodniałe instynkty zamieniają się w namiętności.

Najwyższe bowiem nawet uczucia samo przez się są zmienne, niestałe, chwilowe, kapryśne: żyją chwilą obecną, nie lubią pracy,

[1]) Patrz „Przegląd“ lwowski z r. 1902.

wysiłków, cierpienia. Dopiero rozum wprowadza do nich ład, jedność i porządek: dopiero rozum nasz czyni je rozumnemi, słusznemi i sprawiedliwemi.

Uczucia fizyczne i psychiczne tem bardziej potrzebują kontroli rozumu, aby nie opanowały naszej woli i nie narzuciły się nam jako cele. Rozum pozwala je zaspakajać o tyle, o ile wymaga konieczna potrzeba, t. j. o ile one prowadzą nas do celu, o ile są środkami do życia. W przeciwnym bowiem razie człowiek zaczyna żyć, aby jeść, pić, bawić się i używać.

Porządek natury zostaje wtedy przewrócony do góry nogami, uczucia wyrodnieją i stają się grzechami.

Potrzeba jedzenia wyradza się teraz w obżarstwo, picia — w pijaństwo, potrzeba snu w ospałość, chęć posiadania w chciwość, miłość własna w samolubstwo, popęd zachowawczy w rutynę, pociąg do zmiany wyradza się w zmienność i niestałość, ambicya przechodzi w próżność i zarozumiałość, popęd samozachowawczy zamienia się w strach lub gniew zapalczywy, oszczędność przechodzi w skąpstwo, popęd do współzawodnictwa staje się zazdrością, pociąg płciowy wyradza się w nieczystość.

Podobnież wyrodnieją wtedy uczucia i popędy wyższe, społeczne i intelektualne.

Uczucie rodzicielskie wyradza się w przesadną i zbytnią miłość ku dzieciom, popęd towarzyski przechodzi w gadulstwo i plotkarstwo, popędy i uczucia społeczne zamieniają się w kastową ekskluzywność, skłonność do wrażeń w manię gry i teatru, popęd do samodzielności w upór i despotyzm, miłość prawdy i wiedzy w manię naukową, zamiłowanie piękna w bałwochwalczą cześć dla sztuki, popęd do panowania w tyranię. Nawet uczucia humanitarne, nie miarkowane należycie rozumem, przechodzą w rozrzutność i marnotrawstwo, uczucia moralne w rozpacz, wreszcie uczucia religijne pozbawione refleksyi, wyrodnieją i zamieniają się w zabobon, fanatyzm lub bigoteryę. To też prawdziwa religia opiera się więcej na rozumie, niż na uczuciu, nakazując nam nawet obrzędy chrześcijańskie przyjmować *„w duchu i w prawdzie“*. (Jan 4, 23).

Pierwszym wynikiem tego zwyrodnienia uczuć jest przyćmienie rozumu, drugim — osłabienie, a w końcu zawojowanie woli i oto mamy te same rezultaty, jakie widzieliśmy przy zwyrodnieniu instynktów. Człowiek staje się podobnym do dzikich i bezrozumnych zwierząt!

Wyższe, szlachetniejsze uczucia, a za niemi i potrzeby człowieka zostają opanowane przez niższe, podrzędne wrażenia, które stają się teraz głównymi motorami życia!

Przychodzi to tem łatwiej, że uczucia niższe, które, jak widzieliśmy, rozwijają się w nas niezależnie od rozumu, mają bezpośredni wpływ na wolę. Przyrodzone bowiem potrzeby wywołują w nas pewne pragnienia, które pobudzają naszą wolę, ta zaś, gdy jest pozbawioną uczuć wyższych, pozostaje wprost bezsilną wobec nich. Nie ma ona bowiem bezpośredniego wpływu na fizyologiczną stronę życia, na ciało i przyrodzony organizm człowieka, chyba o tyle tylko, o ile potrafi usunąć podniecające naszą zmysłowość przedmioty i wzbudzić w nas wyższe, intelektualne uczucia.

Tylko za pomocą tych szlachetniejszych uczuć wola nasza może opanować uczucia zmysłowe i niskie. Serce bowiem człowieka, stworzone do szczęścia i przeznaczone do uciech, z konieczności szuka przyjemności i rozkoszy, instynktownie popychając wolę naszą w tym kierunku. Skoro przeto człowiek pozbawiony jest uczuć i rozkoszy duchowych, z chciwością nierozumnego zwierzęcia rzuca się na uciechy i rozkosze zmysłowe, wobec których wola jego staje się wtedy wprost bezsilną. I oto mamy genezę upadku człowieka.

Weźmy dla przykładu położenie woli naszej wobec powstających w nas zmysłowych, nieraz tak ohydnych, popędów płciowych. Uczucia przyjemne, choć zmysłowe, towarzyszące instynktowym popędom ciała, silnie łaskoczą naszą wolę, pociągając ją w kierunku zmysłowym i domagając się gwałtownie przyzwolenia na czyn niegodny i sprośny.

W tej krytycznej chwili wola nasza, jeśli nie oprze się na wyższych, szlachetniejszych uczuciach, nie może wprost pokonać tej pokusy, która poniekąd stała się potrzebą. Nie mogąc ciału i zmysłom nakazać milczenia, wola jest niemal bezsilną wobec tych ślepych potęg, jeżeli nie wspierają jej w tej walce wyższe, szlachetniejsze uczucia, które paraliżują wpływ chuci zmysłowych, pociągając wolę naszą w kierunku wprost przeciwnym.

Kto tych uczuć moralnych nie zna, kto nie posiada tych sprzymierzeńców do walki z pokusą, ten z konieczności uledz jej musi, gdyż wola jego podobną jest wtedy do żołnierza bez broni, lub wodza bez armii wobec silnie uzbrojonego przeciwnika.

Ale kto temu winien?...

W każdym z nas z konieczności niemal od czasu do czasu powstają uczucia gniewu, zemsty, zawiści, żądzy i t. p., które wywołują w nas kurczowe odruchy serca i muskułów, miotając nami jak febra lub epilepsya. Funkcye umysłowe napotykają wtedy na przeszkody, wrażliwość moralna przytępiona, inteligencya przyćmiona i jakby oszołomiona, co pociąga za sobą zakłócenie woli, zaatakowanej tak przez żądze.

Co jedynie wzmocnić ją może w tej krytycznej chwili?...

Rozum — jako władza czysto duchowa — nie może wpłynąć ani na serce, ani na rozburzoną fantazyę, ani na rozhukane nerwy, ani tem bardziej na uczucie, z którem nie ma nic wspólnego. Cóż przeto stanie się z tym człowiekiem?

Upadnie on najprawdopodobniej i zamieni się w zwierzę bezrozumne, jeżeli..... jeżeli z pomocą nie przyjdzie mu wyższe, szlachetniejsze uczucie, które woli jego nada hart i siłę do walki z tą pokusą.

Uczucia te są jednocześnie hamulcem przeciw złemu i bodźcem do cnoty; powstrzymują w nas dzikie, zmysłowe żądze, a jednocześnie wlewają w nas zapał i balsam ożywczy dla duszy, pobudzając ją do czynów bohaterskich.

Kto przeto, jak Kościół katolicki, kształci i potęguje w ludziach szczytne i podniosłe uczucia religijno-moralne, ten tem samem jest „nieporównanym wychowawcą charakterów", wedle trafnego wyrażenia prof. I. Payot'a.[1])

Szczytnem również i wzniosłem jest zadanie kobiety w tym względzie. Wybrana przez Boga na kapłankę cnót rodzinnych, jest ona tem samem przeznaczoną do pielęgnowania uczuć szlachetnych i kształcenia charakterów w młodych pokoleniach. Jak to bowiem trafnie zauważył Montesquieu, na świecie prawa stanowią mężczyzni, ale obyczaje — kobiety. Biada przeto narodom, u których niewiasty zatracają zmysł moralny! Co jednak powiedzieć o tych, którzy słowem, piórem i przykładem niszczą w młodzieży uczucia religijno-moralne?... Którzy starają się ją obedrzeć z tych sił duchowych i skarbów, zaszczepiając w ich serca jad zepsucia, niewiary i zwątpienia?... Są to bezsprzecznie najwięksi wrogowie pięknych i silnych charakterów, najzagorzalsi nieprzy-

[1]) „L'Education de la volonté" préface, pag. VII.

jaciele potęgi i siły duchowej w ludzkości, godni piętna i wzgardy publicznej.

* * *

Jakiż wniosek z tych wywodów? Cóż powiemy o uczuciach w stosunku dla charakteru?

Powie kto może, że należy przyjąć i cenić uczucia intelektualne, a potępić i odrzucić uczucia fizyczne i psychiczne, jako prowadzące do nadużyć. Sąd taki jest błędny, w gruncie rzeczy bowiem *każde* uczucie jest dobre i pomocne, *skoro podlega rozumowi i słucha praw jego.* Oto pierwsza zasada.

Bez serca nie masz pięknego charakteru, tak samo jak nie masz go bez rozumu i woli!

Żadnego z tych trzech pierwiastków nie powinno brakować, gdy chodzi o silny i szlachetny charakter. Ideałem człowieka jest bystry i wykształcony rozum, połączony ze szlachetnem i czułem sercem oraz silną i wytrwałą wolą.

Nie posiada bowiem charakteru ten, kto nie potrafi dopatrzeć się najoczywistszego nawet związku przyczyny ze skutkiem, lub kto nie współczuje z bliźnim i nie interesuje się jego dolą, albo ten wreszcie, kto nie potrafi rozkazywać swym żądzom i panować nad instynktami i uczuciami swemi.

Trudno nawet powiedzieć, co stanowi większą wadę charakteru, brak rozumu, serca czy woli.

Człowiek, któremu brak którejkolwiek z tych władz duszy, zasługuje na miano *„człowieka bez charakteru"*, w praktyce jednak przywykliśmy nazywać tak ludzi, pozbawionych woli, o innych zaś mówimy tylko, że są ludźmi *bez serca* lub *bez rozumu.*

Człowiek bez serca to nie tylko istota, pozbawiona czucia, a więc jakoby martwa, nieczuła, ale jednocześnie jest to samolub i egoista, bo pozbawiony współczucia. Jeżeli przez czucie odbieramy wrażenia i odczuwamy wszystko, cokolwiek wewnątrz lub zewnątrz nas się dzieje, to przez współczucie wcielamy się niejako w położenie bliźniego i odczuwamy stan jego duszy.

Radujemy się jego weselem, bolejemy boleścią, cieszymy się jego radością, smucimy jego smutkiem. Nie masz położenia, nie masz doli bliźniego, której nie potrafilibyśmy odczuć i którą w ten sposób nie moglibyśmy podzielić z bliźnim naszym.

Serce nasze staje się wtedy podobnem do arfy cudownej, w której każdy dźwięk znajduje odgłos i echo. Opanowane tem współczuciem serce ludzkie staje się potężnym czynnikiem uszczęśliwienia bliźniego i uszlachetnienia człowieka, który wtedy do nadludzkich nawet zdolny jest ofiar. Środki mnożą się wtedy niejako w jego rękach, siły jego się dwoją, wola staje się zdolną do poświęceń i bohaterstwa bez granic.

Tajemnicza wielkość takich tytanów jak Mickiewicz lub Kościuszko, którzy zmienili postać całego kraju, nie tyle tkwi w ich geniuszu, co w ich szlachetnych sercach, które potrafiły *„za miliony kochać i cierpieć katusze...“*

Cała niezaprzeczona wyższość dawniejszych czasów pod względem szczęścia i zadowolenia w życiu w porównaniu z dzisiejszą epoką na tem właśnie polegała, że ojcowie nasi więcej mieli serca, uczucia i współczucia dla bliźnich, niż my go mamy obecnie.

Było wprawdzie dawniej więcej mienia i dostatków, było też mniej ludzi, więc łatwiej było wyżyć człowiekowi, ale było jednocześnie więcej serca. Ci, co mieli majątki, mieli też i serca, umieli współczuć z potrzebami bliźniego, umieli go wesprzeć, opatrzyć w nieszczęściu. Dziś więcej jest ludzi, więcej potrzeb i wydatków na państwo, więc też więcej nierównie nędzy na świecie. Byłoby jednak pół biedy jeszcze, gdyby przynajmniej ludzie mieli serca, gdyby umieli kochać się i wspierać wzajemnie. Gdyby ci, co mają więcej, pamiętali o tych, co albo mniej albo nic nie mają.

Ale tak nie jest, niestety. Egoizm jest najcharakterystyczniejszą (po nędzy) cechą dzisiejszych społeczeństw, oraz źródłem tych walk zaciętych między bogatemi a ubogiemi warstwami, które niby wulkan podziemny wstrząsają coraz częściej nawą społeczną. Odkąd azyatyckie i germańskie narody doszły do hegemonii w Europie i wprowadziły swe samolubne zasady do polityki i życia społecznego, odtąd Europa zachwiała się w swej równowadze, bo zabrakło jej czynnika łącznego i spójni duchowej, bo zabrakło miłości.

Dziś, na ogół mówiąc, o wiele więcej jest oświaty i wykształcenia niż dawniej, ale mniej serca i miłości: oto, w czem leży źródło dzisiejszego upadku i upodlenia charakterów.

Pomimo całej naszej intelektualnej wyższości nad „barbarzyńską“ — jak się dziś nieraz mówi — erą średniowieczną, nie

mamy ani tej siły, ani tej odwagi, ani tej wytrwałości, co mieli średniowieczni rycerze, bo... brak nam serca. Nie umiemy ani cierpieć, ani pracować, ani się poświęcać dla idei jak oni, bo nie kochamy, jak oni kochali Boga i bliźnich swoich!

Brak miłości i współczucia czyli egoizm — oto główne, jeżeli nie jedyne źródło wszystkich nieszczęść i niedoli dzisiejszego świata i współczesnej kultury! Nie brak dziś ludziom rozumu, ale brak im serca.

Obojętność, oschłość, a nawet zupełne znieczulenie serca na najniezbędniejsze potrzeby bliźniego, to powszechny niemal objaw na świecie. Dziś doszło już do tego, że ludzie nic sobie z tego nie robią, że pieniądze ich nieproduktywnie leżą po bankach, a najbliższe otoczenie przymiera z głodu i chłodu. Posuwają się nawet do tego stopnia w egoizmie i zaślepieniu, że oburzają się na najsłuszniejsze nawet dopominania się maluczkich o chleb i pracę, a wystąpienie ich uważają za bunt i zamach na swe prawa!

Cóż powiedzieć o charakterze tych ludzi? Są to zaiste szakale, a nie ludzie! Nie mają oni prawa do miana człowieka. Nikt bowiem nie może sobie rościć pretensyi do cnoty, kto nie posiada zdolności współczucia i współcierpienia z bliźnimi. Człowiek taki może być dobrym kupcem, bankierem, przemysłowcem, fabrykantem i wynalazcą, ale nie jest i być nie może *dobrym człowiekiem*, czyli nie może mieć pięknego i szlachetnego charakteru.

Sofista zarzuci mi wprawdzie, że uczucie za daleko nieraz prowadzi człowieka i staje się przyczyną nieobliczonych klęsk w życiu i stosunkach z ludźmi, że serce w przeciwną zazwyczaj, niż rozum wiedzie nas drogę. W odpowiedzi na to przytoczę słowa św. Augustyna, który genialną ręką śmiało i dokładnie kreśli linię demarkacyjną między uczuciem a namiętnością, stwierdzając, że zło nie leży bynajmniej w uczuciu, ale w nadmiernym jego rozwoju i nierozumnem użyciu przez człowieka.

„Dusza", — powiada św. Augustyn[1] — „posiada pewne pociągi, które stają się chorobami, skoro nie potrafimy ich miarkować należycie, ale staną ci się pomocą, gdy ukrócać i poskramiać je będziesz. Gniew, użyty rozsądnie, staje się zbawiennem lekarstwem, stosowany zaś bez miary, staje się przyczyną nieszczęścia.

[1] Expos. in psalm. 148, num. 4 Migne, tom 55, pag. 491.

„Podobnież żądza cielesna, skoro rządzisz nią należycie, uczyni cię ojcem, jest bowiem bardzo pomocna do zrodzenia synów, jeżeli jednak pozwolisz jej wybuchnąć gwałtownie, poprowadzi cię łatwo do hańby i cudzołóztwa. Nie składaj przeto winy na uczucie, ale na własny nierozum. Jeżeli zaniechasz wskazówek rozumu, sam sobie zaszkodzisz i zgubi cię własne twe ciało; ale, jeżeli dołożysz należytych starań, nie tylko od pokus cielesnych i szatana, ale od dzikich nawet zwierząt nic przykrego i szkodliwego nie doznasz."

Ks. dr. Jan Ciemniewski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z dziejów mostu warszawskiego.

Przed niedawnym czasem pisał obszernie w „Wędrowcu" p. Władysław Koleżak o całym szeregu kwestyi, dotyczących Wisły pod Warszawą.[1] W pracy tej mówił p. Koleżak o regulacyi Wisły, o bulwarach warszawskich, o Saskiej Kępie i innych przedmiotach, a między nimi poświęcił osobny ustęp mostom na Wiśle pod Warszawą. W przedstawieniu tem, z którego przebija równie dokładna znajomość, jak wielkie umiłowanie przedmiotu, opowiedział p. Koleżak historyę mostu warszawskiego od czasów, z których pochodzą pierwsze o nim wzmianki historyczne, to jest od drugiej połowy wieku XVI, do ukończenia budowy mostu Kierbedzia. Oparł się zaś nie tylko i jedynie na materyale drukowanym, ale, co większa i co z uznaniem podnieść należy, na wyszukanych przez siebie źródłach archiwalnych. O tyle zatem jego przedstawienie wykazuje doniosły postęp w porównaniu z przedstawieniem historyi mostu przez dawniejszych pisarzy.

Jednakże i pracę p. Koleżaka trudno nazwać zupełnie wyczerpującą. Dzieje mostu warszawskiego dałyby się dokładnie przedstawić jedynie na podstawie materyału archiwalnego, który należałoby wyszukać i wyzyskać, materyał drukowany bowiem

---

[1]) Przypomnąć także należy krótki, ale bardzo trafny i źródłowy artykuł: F. M. S., O dawnych mostach pod Warszawą, umieszczony w „Tygodniku Illustrowanym" z r. 1874. T. XIV. str. 243 i 263.

jest bardzo skąpy, a nadto porozrzucany w najrozmaitszych wydawnictwach tak, że samo zgromadzenie jego przedstawia wiele trudności.

W niniejszej pracy zamierzam uzupełnić wiadomości podane o moście warszawskim, opierając się na materyale drukowanym. I niniejsze zatem przedstawienie nie będzie mogło rościć sobie pretensyi do nazwy wyczerpującego opisania dziejów mostu, w każdym jednak razie uzupełni nasze szczupłe o nim wiadomości. Zajmować się będę dziejami mostu jedynie do końca Rzeczypospolitej, uwzględnię zaś głównie stronę historyczną i prawną.

I.

Przed wiekiem XVI. nie znajdujemy żadnego wyraźnego i pozytywnego dowodu istnienia mostu pod Warszawą. Komunikacya między oboma brzegami Wisły odbywała się za pomocą promów i łodzi, które dawały dostatnie utrzymanie licznym przewoźnikom. Ponieważ przewóz tworzy pierwszy stopień ulepszonej komunikacyi i bywa niejako poprzednikiem mostu, przeto poświęcimy parę słów przewozowi w ogóle, a w szczególności przewozowi pod Warszawą.

W czasach pierwotnych jedynym sposobem komunikacyi między dwoma brzegami rzeki, było przejście jej w bród lub przeprawa za pomocą łodzi względnie promu. Nie było żadnego urządzenia stałego, którеby ułatwiało przeprawę, każdy był pozostawiony własnemu przemysłowi. Z czasem, wobec coraz bardziej zwiększającego się zaludnienia i rozwijających się stosunków handlowych, powstają przedsiębiorstwa, mające na celu ułatwiać tę przeprawę przez utrzymywanie stałych łodzi, promów i przewoźników.

Tak powstaje przewóz jako pierwszy stopień ulepszonej komunikacyi, nazywany w łacińskich średniowiecznych dokumentach: *naulum*, *navigium*. Jest to zatem stałe przedsiębiorstwo, mające na celu ułatwiać komunikacyę między dwoma brzegami rzeki. Nad brzegiem rzeki wznosi się w owych czasach chata, w której mieszka przewoźnik z rodziną, obok niej kawałek gruntu, którego dochodem uzupełnia przewoźnik swój szczupły zrazu zarobek. Zajmuje się on nadto rybołóstwem i przewozi w razie potrzeby drogą wodną podróżnych do odleglejszych miejscowości.

nad tą samą rzeką położonych. Stanowi więc taki przewóz niejako osobną jednostkę gospodarczą. Prawo przewozu należy pierwotnie do księcia, później do właścicieli wsi, do miast lub innych osób uprawnionych, które swe uprawnienie wywodzą z nadanych sobie przywilejów. Często dzierżawi je żyd. Prawo posiadacza przewozu jest prawem wyłącznem, tylko on może je wykonywać, nikt inny. I tylko tego przewozu używać mogą okoliczni mieszkańcy; schwytany na przewozie wzbronionym ulegał karze.[1])

Gdy oba brzegi należą do tego samego właściciela, niema powodu do sporów lub kłótni. On jest panem obu brzegów i w obrębie jego posiadłości leży przewóz. Gdy jednakże brzegi należą do różnych właścicieli, wtedy często staje się przewóz powodem sporów i niesnasek. W roku 1417 zawarli Mścisław z Samogoszczy i Henryk z Ostrowa ugodę o przewóz między temi miejscowościami. Miał to być przewóz trwały, nie czasowy, każdy z nich zobowiązał się do utrzymywania na swoim brzegu przewoźnika i łodzi, dochodem zaś mieli się dzielić na równi.[2]) I godę tę możemy uważać jako wzór wielu podobnych, zawieranych w analogicznych wypadkach, o których pamięć nie doszła naszych czasów. Nadto musieli właściciele przyległych gruntów dozwolić przeprawiającym się pastwisk długości 10, szerokości 20 prętów.[3])

Na Mazowszu spotykamy wiele wzmianek historycznych o przewozie. W roku 1065 otrzymał kościół św. Jana Ewangelisty w Mogilnie nadanie wszystkich przewozów na Wiśle, począwszy od wsi Kamienia aż do morza, przewóz na Narwi pod Wizną i wszystkie wogóle przewozy na całem Mazowszu.[4]) W ugodzie polubownej, zawartej w r. 1398, między Januszem a Ziemowitem, książętami mazowieckimi, za pośrednictwem Spytka z Melsztyna,[5]) zastrzeżono, że dawne przewozy mają być utrzymane w mocy, aby kupcy, używając innych przewozów, nie czynili w ten sposób uszczerbku dochodom książąt i nie omijali komor celnych. W r. 1429 sprzedał ks. Janusz Mazowiecki swe prawo przewozu na Wiśle pod wsią Czaniewem Piotrowi z Wysocina za 5 kop groszy.

---

[1]) T. ks. Lubomirski. Księga ziemi Czerskiej, nr. 1954.
[2]) Tamże, nr. 972.
[3]) Tamże, wstęp, str. LXVI.
[4]) Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski. T. IV nr. 8.
[5]) Kodeks Mazowiecki, nr. 129.

O przewozie pod Płockiem znajdujemy wzmiankę już w r. 1469,[1]) a z lustracyi tego miasta, odbytej w r. 1616, dowiadujemy się, że przewóz wydzierżawiano, arendarz dawał zań rocznie 120 zł., z czego połowa przypadała miastu, druga szła na zamek.[2])

Wiele wzmianek posiadamy o przewozie pod Wyszogrodem. W r. 1382 nadał go miastu książę Władysław Opolski.[3]) Później nadali książęta mazowieccy tenże przewóz wikaryuszom kościoła św. Jana w Warszawie. W roku 1616 dochód z tego przewozu wynosił 28 zł. 8 gr.[4]) Za zgodą biskupa poznańskiego i decyzyą komisarzy duchownych, sprzedano to prawo urodzonemu Olbrachtowi. Sejm Grodzieński zatwierdził sprzedaż w r. 1678.[5])

Pod Solcem nad Wisłą był przewóz, ale dochód z niego szedł całkowicie na zamek, który wydzierżawiał go w r. 1653 za roczną kwotę 200 zł.[6])

Pierwszą wzmiankę historyczną o przewozie pod Warszawą zawiera dokument z r. 1377, w którym Jan, książę wiski, warszawski i zakroczymski, sprzedaje przewóz obywatelowi warszawskiemu Kuńczy, za 32 kóp groszy praskich z obowiązkiem corocznej opłaty 10 kóp groszy na rzecz księcia, tudzież obowiązkiem bezpłatnego przewozu księcia i jego domowników, ile razy będzie potrzeba. Statki potrzebne do przewozu, miał Kuńcza sam sobie zbudować. Przywilej ten zatwierdził sejm piotrkowski z r. 1552.[7]) Przywilej lokacyjny Warszawy z r. 1413, nadany miastu przez ks. Jana Starszego, zastrzega dochód z przewozu pod Warszawą na rzecz księcia. Z pracy p. Koleżaka wiadomo, że za czasów Zygmunta Augusta był przewóz w posiadaniu rodziny Jeżowskich. Król wykupił ten przewóz od Stanisława Jeżowskiego, pisarza ziemskiego warszawskiego. Wedle wiadomości, podanej nam przez autora artykułu: „O dawnych mostach pod Warszawą“, dochód Jeżowskiego wynosił 600 zł. pol. Był to dochód bardzo znaczny, skoro król dał Jeżowskiemu w zamian za przewóz dwie wsie,

---

[1]) Kod. Mazow., nr. 222.

[2]) Starożytna Polska, T. I., str. 368.

[3]) Gawarecki. Przywileje i nadania miastom województwa Płockiego. Warszawa, 1828.

[4]) Star. Pol., T. I., str. 497.

[5]) Volumina legum, T. V. f. 591.

[6]) Star. Pol. T. II. str. 456.

[7]) F. M. S. w artykule cytowanym.

Przekory i Dobrowolę. W roku 1768 wynosił dochód roczny z przewozu warszawskiego 26.302 zł.[1]) Dlatego też nadawano przewóz osobom szczególnie zasłużonym, jako wynagrodzenie ich zasług.

Pomimo, że w r. 1573 stanął gotowy most i pomimo, że król wykupił przewóz od Stanisława Jeżowskiego, istniał przewóz i nadal. Był on nawet koniecznym, skoro jak wiemy, co parę lat lub nawet co roku, silniejsze wody lub kra, uszkadzały lub nawet całkowicie znosiły most.

Przewóz zatem miał niejako zastępczy charakter, zastępował most, gdy go wcale nie było i wtedy, gdy go nie było czasowo. Stąd też konstytucya z r. 1764 mówi: „a *in casum* zepsucia mostu, zapłata od przewozu również, jak od mostowego, być ma.“ Podobnie konstytucya z r. 1775: „Gdyby zaś dla wielkiej wody most miał być rozebrany lub zepsuty, na ten czas dla łatwego przebycia Wisły przewóz być ma...“ Ale nawet w czasie istnienia mostu, istniał i przewóz tak, że chcący się przeprawić przez rzekę, mogli korzystać z mostu lub też użyć przewozu. Tak np. było za czasów Stefana Batorego, który mianował poborcą przewoźnego i mostowego Franciszka Wolskiego, wójta Tykocińskiego, i wyraźnie oświadczył: „a jeśliby kto więc takim płaceniem mostowego się obrażał, tedy będą łodzi przewoźne zawsze gotowe, zaczem mu wolno będzie nie przez most jachać, ale się w łodziach przewieść.“[2])

W pierwszej połowie wieku XVII. dzierżył prawo przewozu pułkownik królewski, Mikołaj Konstanty Giss. Pochodził on ze szlachty frankońskiej, służył za Władysława IV. i Jana Kazimierza przez lat 20 w wojsku cudzoziemskiem i brał udział w wyprawach: moskiewskiej, pruskiej i kozackich. Za zasługi wojenne otrzymał indygenat polski na sejmie warszawskim roku 1652.[3]) W roku 1673 otrzymali indygenat jego synowcowie, wszyscy poświęcający się również karyerze wojskowej: Aleksander Jan, major, Jakób, rotmistrz rajtarski i Franciszek, kapitan królewski.[4]) Po śmierci Gissa w r. 1663, nadał król prawo przewozu przywilejem z daty, Lwów, 10. marca, pułkownikowi artyleryi koronne

[1]) Vol. leg. T. VII. f. 636.
[2]) Źródła dziejowe T. XI. str. 30.
[3]) Vol. leg. T. IV. f. 386.
[4]) Vol. leg. T. V. f. 128.

Frydrykowi Giethkantowi.[5]) To prawo przewozu utrzymało się do końca Rzeczypospolitej, a kiedy w r. 1764. sejm uchwalił budowę stałego mostu, musiał zarazem orzec wywłaszczenie dotychczasowej posiadaczki przewozu.

Oczywiście, że taki sposób komunikacyi miał wiele stron ujemnych, stawał się niemożliwym w czasie wylewu wód, kry, zabierał wiele czasu, nadto nie czynił zadość wzrastającym potrzebom coraz bardziej rozwijającego się ruchu handlowego i osobowego. Stąd też przewozy na miejscach ruchliwych, pod większemi miastami, ustępują już wcześnie mostom. O ile chodzi o Mazowsze, pierwsze wzmianki o mostach pochodzą z drugiej połowy wieku XIV. Powstają jednak przewozy i nadal na miejscach słabiej ożywionych, jak pozostały i do dziś dnia. Śladem licznych przewozów są nazwy wielu wsi, brzmiące: Przewóz, Przewoziec, Przywoziec, Perewozeć, Przewózki, Przewoźnik, Przewozy. Na całym obszarze dawnej Polski wymienia Słownik geograficzny 53 takich miejscowości, z czego na samo dzisiejsze królestwo Polskie przypada 15.

II.

Kiedy po raz pierwszy przewóz pod Warszawą zmienił się w most? Jak wspomniałem pierwsze wiadomości o stałym moście pod Warszawą sięgają drugiej połowy XVI. stulecia. Czy jednakże poprzednio nie było wcale żadnego mostu? Sądzę, że mimo braku bezpośrednich pozytywnych dowodów, możemy raczej przypuścić, że był on, niż, że go nie było wcale. Wiek XV. i XVI. przedstawiają, jak pod wieloma innymi względami, tak również o ile chodzi o urządzenia gospodarczo-techniczne, obraz bardzo daleko posuniętego rozwoju. Za daleko odbieglibyśmy od przedmiotu, gdybyśmy tutaj chcieli szczegółowo uzasadniać nasze twierdzenie. Dla przykładu jedynie wskażę np. wodociągi, o których dzisiaj tak wiele się pisze i rozprawia.

Posiadamy mnóstwo przywilejów królewskich, zezwalających poszczególnym miastom na zaprowadzenie wodociągów. O wodociągach w Samborze mamy wzmiankę w r. 1602.[2]) w Krośnie

[5]) Księga grodzka lwowska T. 411. str. 1013 w archiwum krajowem we Lwowie.

[2]) Ks. grodzka Sanocka, T. 140, str. 1762.

w r. 1585,[1]) w Sanoku w r. 1510,[2]) w Płocku w r. 1498. Ale w Pilźnie były wodociągi już w r. 1461![3]) Za czasów Zygmuntowskich znakomity czeski inżynier, Wacław Morawa, zaprowadził wodociągi w Opatowie Lubelskim około roku 1518, dokąd go sprowadził Krzysztof Szydłowiecki,[4]) a potem w Wiślicy około roku 1528.[5]) Czy domyślają się te podupadłe dzisiaj miasteczka, że już przed czterema wiekami posiadały wodociągi, wodociągi, o których zaprowadzeniu nie marzą obecnie nawet w bardzo odległej przyszłości! A cóż mówić o łaźniach, istniejących w każdem mieście, nawet po wsiach: w miastach większych liczono ich na dziesiątki, a w nich zastrzegano prawo bezpłatnej jednorazowej tygodniowo kąpieli ubogim i uczniom.

To samo da się stwierdzić w każdej innej dziedzinie stosunków gospodarczo-technicznych. To samo co o wodociągach i łaźniach, możemy powiedzieć o szpitalach i zakładach dobroczynnych, o młynach, fabrykach itd.

Słowem cały ten rozwój, który przyzwyczailiśmy się uważać dopiero za zdobycz ostatnich dziesiątków lat wieku XIX., który z dumą porównywamy choćby nawet z początkami wieku XIX., ten rozwój był w znacznej mierze dawno już znanym w Polsce, bo jeszcze w wieku XVI., ale tak dalece przyćmiony smutnym obrazem późniejszych wieków, żeśmy go nawet przypuszczać nie śmieli. To też i co do mostu warszawskiego przed rokiem 1568, nie należy zbyt sceptycznie się zapatrywać. Wskazać możemy nadto jako przykład wiele innych miast mazowieckich, w których mosty już dawno przed r. 1568 istniały. Ks. Anna Mazowiecka zatwierdza w r. 1526 spalony przywilej ks. Janusza dla miasta Rożana, mocą którego mieli mieszczanie opłacać z dochodów mostowego 26 kop książąt.[6]) W Sochaczewie na Bzurze istniał most przed r. 1476.[7]) W Pułtusku mamy wzmiankę o moście w r. 1469. Ścibor, biskup płocki, zabezpieczył czynsz roczny 1½ kopy groszy, zapisany szpitalowi w Pułtusku na dochodach z łaźni, na wypadek zaś, gdyby ta się spaliła, na mostowem na rzece

[1]) Ks. grodzka Sanocka. T. 323. str. 157.
[2]) Rękopis Biblioteki Czartoryskich w Krakowie, nr. 252, str. 6.
[3]) Star. Pol., T. II. str. 477.
[4]) Tamże, T. II. str. 302.
[5]) Tamże, T. II. str. 328.
[6]) Gawarecki, l. c. str. 215—216.
[7]) Kod. Mazow., nr. 234.

Narwi.[1]) Pod Płockiem budowano most w r. 1449.[2]) Książe Władysław Opolski jeszcze w roku 1382 przyrzekł wystawić most w Czersku.[3]) Ks. Lubomirski w przedmowie do swego wydawnictwa p. t.: Księga ziemi Czerskiej, wymienia most na Pilicy pod Brankowem, jako istniejący już w pierwszej połowie wieku XV.[4]) Cóż powiedzieć o tem, że już pod rokiem 1412 mamy zapisaną wzmiankę o moście na wsi. Swiętosław z Belewa pozwał Wojciecha z Chebdzina o to, że tenże oparł nowy most o jego brzeg.[5])

Wreszcie w czasie ciągłych walk z Krzyżakami, musiano niejednokrotnie budować mosty na Wiśle dla celów wojennych, które jednakże miały znaczenie jedynie tymczasowe.[6])

Książęta mazowieccy popierali budowę mostów, nadając miastom prawo poboru mostowego, którego dochód szedł na utrzymanie mostu, dozwalając na ścinanie w lasach książęcych drzew, potrzebnych do budowy mostu.[7]) Przyrzekali, że sami zbudują most, a tylko dalsza jego konserwacya i naprawa będzie należała do mieszczan.[8]) W dobrze zrozumianym interesie ułatwienia komunikacyi, a przez to podniesienia handlu i ogólnego dobrobytu, jak również w celach strategicznych,[9]) nałożyli oni na poddanych obowiązek budowy mostów, który stał na równi z obowiązkiem budowy zamków. Poddani byli obowiązani do budowy, jak do naprawy mostów i to na każde wezwanie.[10]) Szlachtę księstwa Mazowieckiego, uwolnił dopiero sejm piotrkowski z r. 1538 od obowiązku budowy mostów i grobel.

Wszystkie te dowody przemawiają zatem, że most Zygmunta Augusta nie był prawdopodobnie pierwszym mostem warszawskim, że owszem już poprzednio most taki istniał. Jak dotąd brak dowodów pozytywnych na poparcie tego twierdzenia, niewątpliwie

---

[1]) Kod. Mazow., nr. 222.
[2]) Archiwum komisyi historycznej. T. VI. str. 98.
[3]) Gawarecki, l. c. str. 263.
[4]) Str. LXVI.
[5]) Księga ziemi Czerskiej, nr. 229.
[6]) Codex epistolaris Vitoldi, nr. 1024, str. 563.
[7]) Kod. Mazow., nr. 234.
[8]) Gawarecki, l. c. str. 263.
[9]) Dla obrony mostu wznoszono na nim wieże (*propugnacula*). Książe Opolski przyrzeka wystawić most pod Czerskiem *cum propugnaculo*; królowa Anna w r. 1573, wznosi na moście warszawskim wieżę czworograniastą.
[10]) Akta grodzkie i ziemskie. T. VI. nr. 16.

jednak dokładne zbadanie licznych materyałów rękopismiennych, ukrytych dotąd w archiwach i bibliotekach, przyniosłoby niejeden dowód na poparcie tego twierdzenia.

Dzieje mostu rozpoczętego przez Zygmunta Augusta przedstawił p. Kołeżak. Zygmunt August powziął wprawdzie zamiar budowy mostu już w r. 1558, budowę rozpoczęto jednak dopiero w 10 lat później, bo 25. czerwca 1568. Budowa trwała lat 5, ukończono ją już po śmierci Zygmunta, 5. kwietnia 1573. Był to most, długi na 1150 kroków. Most ten zbudowany bardzo silnie, był, wedle p. Kołeżaka, podziwem dla współczesnych „i nie dziw, że przetrwał parę dziesiątków lat, opierając się najsilniejszym naporom lodów.“ [1]) Podobnie twierdzi autor artykułu w „Tygodniku Illustrowanym“, że most stał lat 30.

Zdanie to musimy sprostować. Most Zygmunta Augusta istniał w czasie bezkrólewia w r. 1573 po Henryku Walezym, bo konfederacya generalna wspomina o nim jako istniejącym, nie przetrwał jednakże ani dziesiątka lat, trwał najdłużej lat 3, a wiemy z pewnością, że 15. sierpnia 1576 mostu już nie było. Dokładnej daty, kiedy został zniszczony, nie znamy, w każdym razie stało się to przed 15. sierpnia, gdyż tego dnia wysyła król swego pokojowca, Jana Dobieckiego, do starostów leżajskiego i krzeszowskiego z poleceniem, aby dostarczyli materyału drzewnego, potrzebnego do budowy mostu. [2]) Nie wiemy też, co było powodem zniszczenia mostu, o powodzi większej w roku 1576 nic nie wiemy, być może, że napór lodów spowodował zniszczenie mostu. Możliwem jest również, że powodem była wadliwa budowa i że most sam się zawalił. Takby można wnosić z pisma Stefana Batorego z dnia 10. kwietnia 1578, w którem wyraża się o moście, że „się stracony zerwał“. [3]) Jakkolwiekbądź, to jednak jest rzeczą nie ulegającą wątpliwości, że w połowie sierpnia mostu pod Warszawą nie było i nie było go przez czas dłuższy. Król zajął się usilnie i starannie jego odbudową. Porozsyłał swych pokojowców do starostów z rozkazem wydawania drzewa na budowę mostu. Zachowały się z tych lat księgi rachunkowe podskarbiego nadwornego, Hieronima Bużeńskiego, które pozwalają nam podać parę szczegółów o tej budowie.

---

[1]) Kołeżak, l. c. str. 40.

[2]) Źródła dziejowe, T. 9, cz. 1, str. 70.

[3]) Tamże, T. 11, str. 29.

Po wspomnianym Janie Dobieckim wysłano w r. 1577 do starostwa leżajskiego Samuela Łaskiego. Powierzono mu nadzór i kierownictwo spławu drzewa naprzód rzeką Sanem do Wisły, potem Wisłą do Warszawy. Wydatki jego wynosiły 217 złotych. Nie był jednakże Łaski dość skrupulatnym w prowadzeniu rachunków i sumy powyższej nie wykazał swymi regestrami.[1] Po nim, jeszcze tego samego roku, objął tę funkcyę i został „*superintendentem istius negotii, a sacra maiestate regia*“ Paweł Jezierski. Wydatki jego były o wiele wyższe, wynosiły 772 zł. 29 gr.[2])

Drzewo zatem, z którego zbudowano most Batorego, pochodziło głównie ze starostwa leżajskiego, a więc ze starostwa znacznie odległego od Warszawy. O tyle jednak sprowadzanie drzewa z tego starostwa było dogodnem, że spławiano je aż pod samą Warszawę drogą wodną, a więc transport był stosunkowo tani. Sprowadzano drzewo i ze starostwa stężyckiego, ale w mniejszej ilości, a starosta tamtejszy, Bartłomiej Zieliński, wydał w r. 1577 na spław drzewa 89 zł. 11 gr.[3]) Wydatki powyższe starostów, względnie pokojowców królewskich, obejmują jedynie koszta przewozu drzewa, gdyż w myśl obowiązujących przepisów, dostarczano darmo drzewo z lasów królewskich. Smołę, potrzebną do budowy mostu, sprowadzano ze starostw kamienieckiego i liwskiego, które dzierżył podówczas Stanisław Radzimiński.[4])

Kto kierował budową mostu, z całą pewnością nie możemy orzec, jest jednak bardzo prawdopodobnem, że budowniczym tym był kanonik, później scholastyk warszawski, Kasper Szadloch.[5]) Pod rokiem 1576 bowiem znajdujemy w księdze podskarbińskiej następujący wydatek: *ad manus Caspari Szadlochy, canonici Varschoviensis, ratione retentorum suorum in thesauro ex structura pontis Varschoviensis eidem retentorum dedit fl. 1556 gr. 20.* Szadloch był sekretarzem królowej Anny i może miał jakiś udział w budowie dawnego mostu. W roku 1576 kierował on budową domu murowanego w obrębie zamku warszawskiego,[6]) a w r. 1581 budową szpitala dla ubogich w Warszawie.[7])

---

[1]) Źródła dziejowe, T. 9, cz. 1, str. 102.
[2]) Tamże, str. 147.
[3]) Tamże, str. 128.
[4]) Tamże, str. 152.
[5]) Tamże, str. 28.
[6]) Tamże, str. 17.
[7]) Tamże, T. 9, cz. 2, str. 55.

W budowie mostu za czasów Batorego musiała wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zajść jakaś przerwa. Czy król był zniechęcony znacznymi kosztami, czy z innych powodów, dość, że przez jakiś czas zaniechał a przynajmniej przestał się zajmować budową mostu. Dopiero na prośby senatorów, szlachty i mieszczan, którzy prosili go, „aby tej fabryki tak zacnej i barzo potrzebnej nie zaniechiwał", nakazał król kończyć odbudowę mostu bez względu na koszta i inne trudności. Kierownictwo budowy, tudzież pobór przewoźnego i mostowego, powierzył król wójtowi Tykocińskiemu, Franciszkowi Wolskiemu.[1]) Kiedy most ukończono, nie wiemy, w każdym razie nie był on gotowym dnia 10. kwietnia 1578, gdyż w tym właśnie dniu król mianował poborcą Wolskiego. Wiemy zatem z pewnością, że w czasie między 15. sierpnia 1576 a 10. kwietnia 1578, Warszawa nie miała mostu. Z tem zgadza się zapiska księgi podskarbińskiej, która powiada, że król powrócił d. 21. marca 1578 r. z Ostrołęki do Warszawy, ale konie królewskie musiały pozostać przez parę dni na Pradze, z powodu wezbrania Wisły.[2])

Dokładnych rachunków kosztów budowy mostu za Batorego nie posiadamy, zliczając jednak powyższe, choć niedostateczne, pozycye, otrzymamy pokaźną kwotę 3634 złotych polskich.

Tyle, co prawda niezupełnych i niewyczerpujących wiadomości, mogliśmy wydobyć z wiadomych nam źródeł o budowie mostu za czasów Batorego.[3])

Wiadomości nasze o moście warszawskim w wieku XVII., są bardzo urywkowe i niedokładne. Powtórzymy tutaj dla utrzymania ciągłości opowiadania to, co już wykazali p. F. M. S. i p. Koleżak, uzupełniając tylko lub prostując niektóre ich twierdzenia.

Słusznie zbija p. Koleżak twierdzenie dotychczasowych pisarzy, zajmujących się dziejami mostu warszawskiego,[4]) jakoby ten most zniesiony częściowo lodami w r. 1603, zniszczał całko-

---

[1]) Źródła dziejowe, T. 11. str. 29—30.

[2]) Tamże, T. 9. cz. 1. str. 153.

[3]) Nie znamy dokładnej daty powstania ryciny, przedstawiającej widok Warszawy pod koniec wieku XVI., umieszczonej w dziele p. Koleżaka na str. 39. Most na niej od strony Pragi nie jest jeszcze skończony.

[4]) Np. Gawareckiego w Opisie historyczno-statystycznym miasta Warszawy, str. 183—185.

wiele, gdy go zaniedbano odnowić i że szczątki jego można było widzieć jeszcze za Zygmunta III. i Władysława IV.[1]) P. Koleżak zwraca uwagę na troskliwość o zaspokojenie potrzeb mieszkańców Warszawy i staranie o upiększenie miasta, jakiem się odznaczał Zygmunt III.: nie mógł on tedy zapomnieć o moście, tak ważnej arteryi komunikacyi. Nadto udało się p. Koleżakowi wyszukać materyał archiwalny, dowodzący niewątpliwie istnienia mostu w latach 1605 do 1621. W ciągu tych lat bowiem wyznaczano co roku mniejszą lub większą kwotę na konserwacyę mostu; na roku 1621 urywają się notatki. Podobnie przedstawia rzecz p. F. M. S.

Opowiadając dalsze dzieje mostu, twierdzi p. Koleżak, że most spalono umyślnie przed najazdem Szwedów za Jana Kazimierza.[2]) Zdanie to, jak się zdaje, jest mylnem. Mostu już nie było daleko wcześniej, gdyż w r. 1632 konfederacya generalna zawiązana w czasie bezkrólewia po śmierci Zygmunta III., nakazała podskarbiemu koronnemu zbudować most na statkach, aby ułatwić przeprawę szlachcie, przybywającej na elekcyę nowego króla.[3]) Na to postanowienie zwrócił uwagę już p. F. M. S. To samo postanowienie powtórzyła konfederacya generalna z r. 1648, po śmierci Władysława IV.[4]) A więc już przed najazdem Szwedów, nie było mostu na Wiśle. Po abdykacyi Jana Kazimierza znajdujemy znowu to samo postanowienie, zawarte w uchwałach konfederacyi generalnej z r. 1668.[5])

Oprócz tych mostów, budowanych jedynie na czas elekcyi, były jeszcze inne, niejako przygodne, budowane dorywczo, przeważnie dla celów wojennych, jak most Kazimierza Sapiehy z Kępy na Solec, zbudowany w r. 1656, celem przyjścia z pomocą oblężonej Warszawie lub most króla Jana Kazimierza, zbudowany w r. 1657 od ulicy Spadek (dzisiejszej Cytadeli), spalony jednak po 3-dniowej walce, dalej mosty budowane corocznie na Zielone Świątki z Solca na Saską Kępę, dokąd urządzano stale co roku wycieczki. Wszystkie te mosty były efemeryczne i lada ruszenie lodów rujnowało je.[6])

---

[1]) Koleżak, l. c. str. 40.
[2]) Koleżak, l. c. str. 42.
[3]) Volumina legum, T. III., f. 735.
[4]) Tamże, T. IV., f. 165.
[5]) Tamże, T. IV., f. 1043.
[6]) Koleżak, l. c. str. 42.

O moście w pierwszej połowie wieku XVIII. wiemy nadzwyczaj mało. Za Karola XII. w r. 1705. z początkiem listopada, podczas drugiej wojny szwedzkiej, zawalił się most na Wiśle dla kry i wielkiej wody. Szwedzi zdołali go jednak utrzymać łańcuchami, wziętymi z ulic i bram. W r. 1707 były dwa mosty, które rozebrano po przejściu nieprzyjaciela.[1]) Konfederacya generalna z r. 1733. nakazała jak zwykle zbudować most na czas elekcyi.[2])

Spotykamy jednak dowody, że potrzeba budowy stałego mostu dawała się uczuć i że o takiej budowie myślano na seryo w pierwszej połowie wieku XVIII. August II. przyrzekł w paktach konwentach w r. 1699. „Ponieważ most pod Warszawą byłby bardzo wygodny stanom Rzeczypospolitej, tedy *accedente consensu ordinum* na pamięci go mieć będziemy.“[3]) Zebrano nawet na ten cel pieniądze (nie wiemy, w jaki sposób), ale te pieniądze w znacznej przynajmniej części, gdzieś przepadły. Sejmik radziejowski dwukrotnie, raz w r. 1740, drugi raz w r. 1748, nakazywał swoim posłom upomnieć się na sejmie o pieniądze, które składane były na most pod Warszawą.[4]) W r. 1756 stanął też przy ulicy Bednarskiej most, zbudowany z belek na palach, po wierzchu brukowany. Kosztował 13.882 zł. 9 gr. 6 den., ale był słabo zbudowany i nie trwał długo. Dopiero na sejmie z r. 1764, myśl stałego mostu przybrała konkretniejsze formy.

Na sejmie konwokacyjnym tego roku, postanowiono jak zwykle, „aby most przez Wisłę na przyszłą elekcyę, kosztem Rzeczypospolitej wcześnie był sporządzony.“[5]) Most ten miał być według powyższego postanowienia utrzymany raz na zawsze, oznaczono wysokość mającego się pobierać mostowego. Postanowiono wywłaszczyć dotychczasową posiadaczkę przewozu, przeznaczając jej w zamian za to roczną płacę do końca życia z dochodów mostowego. Postanowiono również nie przyzwolić possesorce na cesyę prawa przewozu, ani też nie nadawać go nikomu więcej po jej śmierci. Na sejmie elekcyjnym tegoż roku powtórzono dosłownie postanowienie konwokacyi o wywłaszczeniu posiadaczki prze-

---

[1]) Por. artykuł p. F. M. S.

[2]) Volumina legum, T. VI., f. 589.

[3]) Tamże, T. VI., f. 35.

[4]) Pawiński, Rządy sejmikowe T. V. nr. 26, str. 85 i nr. 35, str. 115.

[5]) Volumina legum, T. VII., f. 7.

wozu.[1]) Wkrótce jednak przekonano się o niedostateczności tych postanowień. Mostowe, wybierane w wysokości oznaczonej przez sejm konwokacyjny, okazało się za niskiem, a dochód z niego nie wystarczał na utrzymanie mostu, ani na wypłacanie posesorce przewozu, należnej jej kwoty rocznej. Przekonano się również, że most zbudowany doryweczo, jedynie na czas elekcyi, nie może być trwałym. Dlatego na sejmie koronacyjnym tegoż roku zmieniono odnośne postanowienia.[2]) Mostowe podwyższono trzykrotnie, postanowiono wybudować most inny, w miejscu uznanem za odpowiednie, zarządzono wywłaszczenie dziedziców brzegów i zburzenie domów, stojących budowie mostu na przeszkodzie, wreszcie oddano całą sprawę budowy mostu w ręce komisyi skarbowej.

W myśl tej uchwały przeznaczył sejm warszawski z r. 1768. sumę 40.000 zł. na brukowanie ulicy na Pradze, prowadzącej od Wisły. Sumę tę należało wypłacać corocznie, po wybrukowaniu zaś ulicy, cała suma miała być obracana na most przez Wisłę, jego konserwacyę, tudzież konserwacyę powyższej ulicy.[3]) Mimo to budowa mostu odwlokła się jeszcze na długo. Były to czasy nader brzemienne pod względem politycznym, umysły i uwaga władz i ogółu były zwrócone w inną stronę; także położenie finansowe kraju niepomyślne, nie pozwalało myśleć o wykonaniu postanowienia sejmowego z r. 1764. Dopiero roku 1775 ofiarował się ks. Adam Poniński, marszałek konfederacyi generalnej i sejmu, wybudować most własnym kosztem.[4]) Sejm extraordynaryjny warszawski przyjął tę propozycyę, nadając księciu jako wynagrodzenie kosztów budowy i utrzymania, prawo pobierania mostowego. Oznaczenie miejsca, gdzie miał stanąć most, tudzież czasu rozpoczęcia budowy, pozostawiono królowi. Sposób budowy pozostawiono do woli księcia. Oznaczono tylko, że budowa mostu na palach mogła trwać lat 3, mostu zaś na statkach, promach lub płytach lat 2. Od chwili rozpoczęcia budowy mostu, miał należeć dochód z przewozu do księcia, na którego jednak przechodził obowiązek opłacania kwoty należnej dotychczasowej posiadaczce aż do jej śmierci. Dochód z mostowego miał należeć wyłącznie do księcia przez lat 10, po upływie lat 10 miał należeć do niego

---

[1]) Volumina legum, T. VII., f. 207.

[2]) Tamże, T. VII., f. 334.

[3]) Tamże, T. VII., f. 651.

[4]) O moście Ponińskiego wspomina Skrzetuski, Prawo polityczne, T. II. str. 241.

z obowiązkiem wnoszenia do skarbu corocznie 50 tysięcy złotych polskich. Po śmierci księcia miał most przejść na własność państwa. Sejm uregulował też wyczerpująco wysokość mostowego, uwolnienia od niego i policyę mostową.[1])

Na tem kończymy dzieje mostu warszawskiego, dalsze jego losy znajdzie czytelnik w dziele p. Koleżaka. Łatwo też pozna czytelnik, że nie może być tu mowy o wyczerpującem przedstawieniu dziejów mostu. To, co o nim wiemy, nie stanowi jednolitej i wszechstronnie wykończonej całości, znamy tylko poszczególne epizody — nie całość.

Dr. Przemysław Dąbkowski.

(Dokończenie nastąpi).

[1]) Na rycinie, ręki Bogumiła Schiffnera, przedstawiającej Warszawę pod koniec XVIII. w., niema mostu. Rycinę tę umieścił Zygmunt Gloger w dziele swem. Geografia historyczna ziem dawnej Polski. Kraków 1900. na str. 134.

O powstawaniu naszej Ziemi jako płanety w systemie słonecznym.

(Ciąg dalszy).

Spiętrzone brzegi utworzyły na powierzchni ziemi wyniosłe grzbiety, ciągnące się albo luźnie w pewnych kierunkach, albo równolegle do siebie, lub rozchodzące się z pewnych miejsc promieniowato na wszystkie strony. Są to pasma gór, mające w sobie zawsze pochyłe a czasem pionowe ułożenie warstw, które wszakże niekiedy są poprzerzucane a nawet całkiem poprzewracane. W niektórych miejscowościach, przy takiej rumacyi ściśnienie wielkich obszarów skorupy ziemskiej sprawiło zamiast połamania warstw tylko pewne ich sfałdowanie, jak to w Alleghanach pomiędzy Ohionem a morzem Atlantyckiem widzieć można, gdzie warstwy są tylko pogięte a nie połamane.

Jak brzegi takich kawałów połamanej skorupy, do góry wzniesione, spiętrzyły się w grzbiety wysokie gór, tak samo znowu ich brzegi przeciwległe, które się podały na dół, równie jak i wklęsłości w pogiętych warstwach utworzyły głębokie kotliny, w których później zbierały się ciekłe połączenia chloru i wodoru, tudzież wodoru i tlenu (wody) po rozpoczętem skraplaniu się ich pary, w ówczesnej atmosferze bardzo obficie zawieszonej. W ciągu tych rumacyi, przekształcających pierwszą stwardniałą skorupę ziemską, przybywały do pierwotnej wybuchowej masy kamiennej ciągle nowe takie masy śród dalszego rozpadania, łamania, wzno-

szenia i opadania mas stężałych. Następnie poczęła coraz bardziej występywać na jaw różnica między wulkanicznem, a plutonicznem stężeniem. Różnica między szybkiem stygnięciem na powierzchni, a coraz powolniejszem w głębi ziemi musiała też stawać się coraz większą, tem bardziej, gdy atmosfera przez ciągłe oddawanie swych części składowych masom bardziej już skupionym, tak na rozciągłości jako też na gęstości, wielkie straty ponosiła. Ta okoliczność objaśnia zarazem, dlaczego pomiędzy najstarszemi kopalinami wybuchowemi nie napotykamy żadnych z prawdziwą cechą wulkaniczną. Dopiero od tej epoki skrzepu rozpoczyna się właściwie geologiczne badanie ziemi.

Geologia uczy, że kamienne masy wybuchowe we wszystkich okresach powstawały, tudzież, że już w dalekiej przeszłości pewna różnica między wulkanicznemi i plutonicznemi kamieniami zachodzi, która z postępującem rzednieniem atmosfery a grubieniem stężałej skorupy coraz wybitniejszą stawać się musiała i dziś daleko jest większa, aniżeli w każdej z poprzednich epok, nareszcie, że kamienne masy prawie niezależnie od czasu swego powstania nie jednakowo są chemicznie i mineralogicznie złożone i dlatego ich obecnie więcej niż 50 rodzajów i odmian znamy. Nie jest bowiem dla minerałów rzeczą obojętną, czy stygnięcie powoli, czy prędko, czy pod większem, czy mniejszem ciśnieniem, czy w stanie tak zwanego spoczynku, czy podczas skorego ruchu, za współdziałaniem wody lub bez niej odbywało się.

Atmosfera też według każdoczesnej fazy swego składu rozmaicie na ciekłe a następnie stężałe masy skorupy ziemskiej działała.

Pierwotna atmosfera, kwaśnemi gazami (złożonemi) bardzo gęsto napełniona, pod wpływem mocnego ciśnienia wydzielała gorące roztwory kwasu solowego, które zbierały się w dołach znacznie już oziębionej skorupy ziemskiej i tam krzemiany znajdujące się rozkładać zaczęły. Tak powstały połączenia chlorowe różnych metalów, podczas gdy krzemień jako kwarc aż do nasycenia kwasu wydzielał się. A gdy się utworzyło morze, wody jego rozpuściły w sobie dalej te połączenia wapnia i magniu soli glinowych i innych zasad metalicznych.

Po uwolnieniu się atmosfery od połączeń chloru i siarki, nastąpił znowu dalszy rozkład pierwotnych kopalin w skorupie ziemskiej pod wpływem ogromu wilgoci atmosferycznej i wolnego kwasu węglowego w bardzo wielkiej jeszcze ilości tamże zawartego. Złożone krzemiany w krzemian glinki przemieniały się,

a ich zasady z onych połączeń uwolnione, tworzyły węglany wapna, magnezyi i alkaliów, które w powstałej później wodzie w części rozpuszczone spływały do morza. Wskutek dalszych działań chemicznych najtwardsze skały przy ówczesnej nadto wysokiej temperaturze zamieniły się w glinę a odpowiednie ilości kwasu węglowego i atmosfery tej usunięte zostały, podczas gdy pewne ilości soli kuchennej, chlorku wapnia i węglanu wapna powstawały.

Wręcz przeciwnie zapatruje się na sam początek epoki skrzepu Sterrey Hunt, utrzymując, że „pierwsze tężenie ziemi od jej środka postaci rozpoczynać się musiało", a to dlatego, że największa część minerałów posiada większą gęstość w stanie stałym, niż w ciekłym, zatem ciała te krzepnąc na dół opadać musiały.[1]) Lecz Hunt w swej argumentacyi nie całkiem logicznej przeoczył najprzód tę okoliczność, że ciekła część ziemi w epoce roztopu zostawała pod ogromnem ciśnieniem atmosferycznem, wspieranem w głębiach cieczy tak zwanem ciśnieniem hidrostatycznem, wskutek czego gęstość ciekłych warstw powiększać się musiała z głębokością, zatem ciała krzepnące przez takie gęste warstwy nie tak łatwo do środka ziemi dostawać się mogły, a powtóre, nie uwzględnił on tej drugiej okoliczności, że powstające kry kamienne, chociaż początkowo opadały w cieczy niżej, czyniły to jednak tylko do pewnego kresu, mianowicie, póki w ogromnie jeszcze gorących warstwach głębszych znowu się nie stopiły i póki takiem ciągłem roztapianiem te ciekłe warstwy, przez które opadały, nie oziębiły się do tego stopnia, iż dalsze zanurzanie się krzepnących mas nareszcie ustać musiało, gdyż tężeniu i opadaniu kry kamiennej musiały niezawodnie towarzyszyć także okoliczności, podobne do tych, jakie możliwem czynią swobodne pływanie na wodzie po morzu pancerników z ogromnemi ciężarami i wogóle jakichkolwiek ciał, od wody nie równie gęściejszych.

Wykazane wszakże usterki we wnioskowaniu Hunta nie obalają wcale głównego twierdzenia jego o stężałem wnętrzu ziemi, gdyż mogło też być, że masa roztopu ziemskiego, ogromnem wówczas ze wszystkich stron ciskiem dośrodkowym nad miarę zgęszczona, uległa nareszcie (dla nieznanych nam jeszcze wpły-

---

[1]) Ob. artykuł jego, czytany 31 maja 1867 w Royal Institution of Great Britain, a drukowany w Archiv des sciences physiques 1867. I.

wów) pewnego rodzaju krystalizacyi, posuwającej się od środka ziemi ku jej powierzchni aż do tego kresu, gdzie uchodzące rychło na wszystkie strony ciepło topliwości czyli ciekłości stężałych mas wewnętrznych, resztę otaczającego je kulisto warstwowego roztopu do wyższej jeszcze temperatury podnieść musiało, poczem dopiero wskutek dalszego stygnięcia po miliardach lat do utworzenia wierzchniej skorupy przyjść mogło.

W takim jednak przypadku równie jak i w razie rozpoczęcia tężenia ziemi od powierzchni, wnętrze jej nie mogło mieć bezpośrednio żadnego udziału w tworzeniu się skorupy wierzchnej która tedy przed swem stężeniem, jako pozostałość z epoki roztopu, była ciekłą, kilkanaście a może kilkadziesiąt mil głęboką warstwą koncentryczną (dosrodkową), zawierającą z wyjątkiem pewnych części, jeszcze w atmosferze zawieszonych, wszystko to, z czego powstały teraźniejsze nasze skały. Dziś ta skorupa w gruzach swoich leży, ale jej skład wyobraża sobie Hunt taki, jakiby powstał, gdyby obecnie przy bardzo wysoko podniesionej temperaturze naraz ląd, woda i powietrze na siebie nawzajem działać zaczęły. Ostatecznym tego skutkiem byłaby przemiana węglanów, solanów i siarkanów w krzemiany, a węgiel, chlor i siarka w postaci lotnych kwasów wespół z azotem, tlenem i nadmiarową parą wodną utworzyłyby atmosferę, bardzo podobną do tej, jaka niegdyś pierwsze ciekłe jądro ziemi oblewała; pozostała zaś masa stopiona w postaci krzemionkowych połączeń, zawierałaby wszystkie zasady metaliczne i pod względem swego składu byłaby podobną do masy żużlowej naszych pieców hutniczych i do mas wulkanicznych w ogóle.

Ponieważ ciepło topliwości przy rzeczonych stężeniach nie mogło wolno uchodzić, zwłaszcza po takiem zgrubieniu skorupy ziemskiej, iż oddziaływania jego na zewnątrz już teraz nawet dostrzedz nie podobna, więc bardzo znaczna część jego, tudzież wiele ciepła pierwotnego przechowało się do dziś dnia w ziemi i prawdopodobnie wielkie jej masy pod stężałą skorupą znajdują się jeszcze w stanie roztopu a może daleko jeszcze większe w takim stanie miękkości, iż działania chemiczne pomiędzy ich częściami składowemi odbywać się w nich mogą. Tak powstawały według Hunta krystaliczne skały, gneis, granit i inne minerały w skorupie ziemskiej. Tak tłumaczą się też wybuchy wulkaniczne, gdyż mięknienie i topnienie metamorfozujących się warstw głębokich jest połączone z wydzielaniem gazów, głównie za działaniem rozpalonych skał na wodę w ich porach i rozpadlinach

zawartą, a wulkany niczem innem nie są jak tylko paszczami, któremi te skaliste roztopy i ich gazy z głębi wydobywają się na wierzch. Gdzie zaś w takich roztopach nie ma żadnych gazów, tam skały, mniej lub więcej zmiękłe, twardnieją z czasem znowu albo na swem pierwotnem miejscu, albo w rozpadlinach warstw, któremi są pokryte, tworząc w tym ostatnim przypadku wybuchowe skały plutoniczne, granity i bazalty.

W takim składzie rzeczy zjawiska wulkaniczne i plutoniczne mają swe siedlisko w głębokiej miękkiej warstwie formacyi osadowych skorupy ziemskiej, a nie w środkowym jądrze naszej planety; czego wszakże i ci nie utrzymują, którzy za ciekło ognistem jądrem ziemi gorliwie przemawiają, uwzględniając między innemi powodami także i ten, że według astronomiczno-matematycznych poszukiwań Hopkinsa, stężała skorupa ziemi powinna być kilkaset mil gruba; w takim zaś razie wszelki współudział bezpośredni wnętrza ziemi w zjawiskach wulkanicznych jej powierzchni całkiem jest niemożliwy.

IV.

Następną bardzo ważną epokę tworzenia się ziemi, rozpoczyna płynna woda na stwardniałej skorupie powstała. Z nią pojawił się nowy, bardzo ważny działacz, rozpowszechniający swoją czynność na wszystkie następne koleje dalszego przekształcania się stężałych mas. Ciała (chemicznie) proste w różnych temperaturach różnie się zachowują. Jedne zatrzymują swój stan powietrzny w takiej temperaturze, w jakiej inne już w ciecz lub w ciała stałe zamieniają się, niekiedy nawet z pominięciem stanu ciekłego. Pierwiastki wody przy zwyczajnem dzisiejszem ciśnieniu atmosfery, łącząc się z sobą, dają wodę w stanie ciekłym, jeśli temperatura tego połączenia spadnie niżej + 100° Celsiusza. Niegdyś, jak atmosfera nierównie grubszą i cięższą była, działo się to w temperaturze daleko wyższej; jednakowoż nie jest prawdopodobnem, aby pierwsza woda powstała jeszcze na gorącej skorupie ziemskiej. Tworzenie się jej było dopiero wtedy możliwem, kiedy stężała skorupa znaczniejszą już grubość posiadała i temperatura na niej niżej zwykłego punktu kipienia wody spadła była. Woda atmosferyczna zbierała się najprzód w pierwszych powstałych dołach i rozpadlinach i odtąd przechodziła różne ko-

leje wskutek odparowań i skropleń, przypływów i odpływów, tudzież nowych wybuchów i przemian na powierzchni stałej skorupy ziemi; roztwarzała stale części tej skorupy a inne znowu mechanicznie z sobą uprowadzała. Tym sposobem i od tego czasu rozpoczęła się bardzo ważna sprawa powstawania osadowych pokładów, tworzących się tak z roztworów samych, jako też z prostych namulisk, przez co rozmaitość ich znacznie powiększyć się musiała. W tych pierwszych pokładach nie napotykamy jeszcze żadnych organicznych pozostałości, z czego nasuwa się wniosek, że powstanie wody i wspomniane jej skutki nastąpiły w temperaturze wyższej niż ta, w której swobodnie istnieć mogą organizmy, czy to roślinne, czy zwierzęce. Nie znamy żadnej istoty organicznej dziś żyjącej, któraby w temperaturze, przechodzącej + 60° C. wiodła regularnie życie, rodzajowi swemu dziś od natury użyczone.

Był czas, że jedno morze całą kulę ziemską do pewnej wysokości jednostajnie pokrywało. Epoką potopu czas ten nazwać by można. Za takiem morzem przemawiają najwyraźniej ślady wody na najwyższych grzbietach gór, które z pewnością w późniejszych czasach nie były już nigdy więcej zalane powodzią, chociaż dzisiejsze ich wzniesienie nie od razu, lecz tylko stopniowo za powtarzaniem się pierwszych działań powstało. Przemawiają też rozliczne, bardzo grube i prawie wszędzie napotykane pierwotne warstwy osadowe, gwałtownemi wód bałwanami z pierwszych wzniesionych do góry ścian spłokane. Wskutek wspomnianego wyżej pękania skorupy ziemskiej i nasuwania się na siebie olbrzymich ścian, powstały nietylko pasma gór, ale wystąpiły także nad poziom powszechnego morza na wielu miejscach rozległe obszary stałego lądu. Wszystkie te wysoczyzny [1] nie zo-

[1] Powstawanie gór i dolin na ziemi łatwo uzmysłowić sobie na zwyczajnym dziecinnym baloniku kolodyonowym, który powleka się płynnym łojem w ciepłym pokoju dla ciągłego utrzymywania tegoż w stanie miękkim. Objętość balonika pomniejsza się, skoro gaz przez cieniuchną powłokę zacznie uchodzić w większej ilości. Wtedy łojowa powłoka pęka najprzód tu i ówdzie a potem naraz na wielu miejscach, a jej brzegi wypierają się nawzajem do góry i następnie bardzo wyraźnie nasuwają się na siebie, tworząc pasma gór, względnie sto razy wyższe, niż się to działo na ziemi. Miejscami widać, jak się łój fałduje, jeśli przez lekkie ogrzanie odzyska większą giętkość. Przebiwszy taki balon cieniuchną igiełką, marszczy się złojona osłona kolodyonowa prędzej i bardziej, przedstawiając w miniaturze ziemię bez wody. Wklę-

stały tajemniczą jakąś siłą, z wnętrza ziemi do góry działającą, podniesione, lecz są bezpośredniemi wypadkami opadania na dół i ciśnienia stężałych mas wraz z zebraną na nich wodą na ciekłe wnętrze ziemi, czyli prostym skutkiem siły (atrakcyjnej), która każde ciało niebieskie w odrębnej całości utrzymuje, popieranej ściąganiem się (kontrakcyą) przy tężeniu.

Morza przez osadzanie na swojem dnie namułu i rozpuszczonych w swej wodzie stałych części lądowych, powiększały stopniowo grubość tego dna a z nią i ciśnienie na podstawę, które na brzegach, spłukiwanych oczywiście coraz więcej zmniejszać się musiało.

Porównując skład dzisiejszej wody morskiej z jej składem w pierwotnym oceanie, który to skład znany jest nam z rozbioru kopalnych wód morskich, zamkniętych w najstarszych skałach warstwowych, okazuje się, że wody te są bogatsze w sole wapna i magnezyi, niż dzisiejsze wody morskie, które swój dawny nadmiar węglanu wapna oddały na rzecz skał wapiennych a zarazem też na budowę szkieletów i tarcz tych niezliczonych miliardów najrozmaitszych żyjątek, które kiedyś nad utworzeniem ogromnych skał kredy i pokładów wapna organicznego pracowały i dziś już po największej części tylko w stanie kopalnym, niewątpliwe o swoim bycie niegdyś dają świadectwo.

Atmosfera w całym ciągu tej epoki pracowała też nieustannie nad przeobrażaniem skorupy ziemskiej, rozkładając dalej skały i krusząc je prócz tego także mechanicznie, co przy pomocy wody, powstałej w obfitości, odbywało się z takim skutkiem, iż z czasem utworzyły się wszędzie wspomniane pokłady warstwowe, mające (jak widać) w części chemiczne a w części mechaniczne pochodzenie.

W tym okresie czasu bez porównania więcej niż dziś znajdowało się węgla w atmosferze, a wody w morzu, i to więcej o te ich ilości, które później do utworzenia olbrzymiej wegetacyi a następnie i świata zwierzęcego, wzięte z nich zostały.

---

słości pomiędzy wzniesionemi brzegami łoju, wyobrażają nam kotliny mórz a wyniosłości w ogóle przedstawiają lądy i wszystkie wyżyny. A gdyby z uchodzącym gazem mogła się z wnętrza balonu wydobywać jaka ciecz, prędko stygnąca na powierzchni, mielibyśmy naśladowanie pierwotnego wydobywania się na wierzch plutonicznych mas pomiędzy pływającą na nich krą kamienną.

Zdaniem Murraya [1]) ilość wody na ziemi dla wielkiego jej powinowactwa chemicznego do minerałów ciągle się pomniejszała, pomniejsza i pomniejszać będzie aż do zupełnego kiedyś zniknięcia (jak obecnie na księżycu), gdy jej pierwiastki uwięzną do reszty w masach stężałych.

Dr. Rehmann na zebraniu dorocznem Tow. Kopernika w d. 19. lutego 1883, zakończył swoje przemówienie (O wieku Morza Śródziemnego) następnemi słowy:

„Mamy niezbite na to dowody, że w młodocianym wieku ziemi cała jej powierzchnia była oblana wodą. Był jeden tylko niezmierzony ocean, w poprzód którego nie było ani jednej piędzi suchej ziemi. Wskutek bezustannego stygnięcia i kurczenia się ziemskiej skorupy, dno morskie zaczęło się powoli podnosić i wystąpiło ponad powierzchnię wód w postaci nielicznych płaskich ostrowów. Był to początek dzisiejszych kontynentów. I liczba i rozmiary tych ostrowów rosły bez przerwy a przez połączenie się ich powstały dzisiejsze części ziemi... (Plutoniści i Neptuniści tak uczyli.) Nie wodzie i nie ogniowi zawdzięczają lądy swoje istnienie, lecz bezustannej walce elementu płynnego t. j. wody z elementem stałym, ziemią.

Walka ta skończy się wtenczas, kiedy ostatnia kropla wody zginie z powierzchni ziemi. Miała ziemia wiek swego dzieciństwa, dziś jest w wieku męzkim, po którym nastąpi starość i obumarcie. Planeta Saturn poucza nas, czem była ziemia w młodości swojej, księżyc zaś pokazuje, czem będzie w zgrzybiałym wieku. Traci ona bezustannie swoje ciepło a z niem i żywą siłę ruchu, t. z. energię... Twarda jej skorupa stygnie bez przerwy, staje się coraz grubszą, kurczy się i pęka. We wnętrzu jej powstają szczeliny, w które zapada woda, a ta łączy się bezustannie z mineralnemi częściami skorupy ziemskiej, traci więc swój byt, swoje istnienie. Obliczono, że przez zwietrzenie różnych skał już $^1/_{17}$ część tej wody, jaką ziemia posiadała pierwotnie, znikła bezpowrotnie. A nie zapominajmy znowu o tem, że średnica ziemi wynosi 1718 mil, a powierzchnia jej stężała dopiero do głębokości 3 mil. Zanim to stężenie do połowy ziemi dojdzie, powstające przez to szczeliny pochłoną oceany, rzeki i jeziora, woda zniknie zupełnie z powierzchni ziemi a ostatni akt w jej rozwoju będzie

[1]) Rzecz odczytana na posiedzeniu Tow. geol. w Londynie, d. 17. czerwca 1868.

zarazem końcem życia organicznego i ostatnią także kartą w dziejach ludzkości."

O tym ustępie w prelekcyi d-ra Rehmana dałoby się jeszcze nieco powiedzieć. Lecz tym czasem niech wystarcza to, co tu powiedziałem, a Murray d. 17. czerwca r. 1868 w Londynie publicznie odczytał.

Dr. Wojciech Urbański.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kilka uwag o książce p. Józefa Olszewskiego: „Biurokracya".

(Ciąg dalszy).

Dla czytelnika, który na podstawie wstępu historycznego do pracy pana O. wyrobił sobie pojęcie o dzisiejszych zawodowych urzędnikach państwowych, jako o jakiejś strasznej „kaście społecznej", niemałą zrazu jest niespodzianką następujący bezpośre-dnio potem rozdział dzieła p. O. zatytułowany: „Definicya biurokracyi i jej ogólne pojęcie" (str. 95 i nstp.).

Najniespodziewaniej bowiem spotykamy tu nagle zupełnie różne od poprzedniego, określenie biurokracyi. Widmo „kasty urzędniczej" znika na chwilę i słyszymy zrazu zupełnie co innego.

„Obecnie — czytamy tu — pojęcie biurokracyi straciło to znaczenie ściślejsze i stało się suma właściwości i wad zarzucanych dzisiejszemu całemu systemowi rządzenia i działania państwa, a nawet i poza temże stojących związków."

„Biurokracya jest to wada związana z pojęciem wszelkiego rządu źle zorganizowanego, w odniesieniu do żywotnych stosunków i interesów jednostki i społeczeństwa, zmiennych z powodu pulsującego w nich życia" (str. 96).

Definicya ta, jak widzimy, nie zna wcale „kasty" urzędni-czej, lecz określa biurokracyę jako wadę pewnego systemu admi-

nistracyi państwowej, która z „kastą urzędniczą“ nie ma nic wspólnego.

Taka definicya, jakkolwiek prawdziwa, staje z drugiej strony w zasadniczej sprzeczności z rezultatami wstępu historycznego książki p. Olszewskiego.

Stawiając ją autor przerzuca się na zupełnie inne pole, staje na zupełnie innem stanowisku wobec kwestyi, którą obrał za przedmiot swej pracy.

Niestety bezpośrednio po tem na str. 101 i 102, autor porzuca znów ten słuszny punkt widzenia. Czytamy tam bowiem: „państwo biurokratyczne błądzi przez oddanie nieograniczonego kierownictwa rozbujałem do nieznanych dawniej granic życiem publicznem, w ręce urzędników, którzy z rządzenia robią zawód i tylko do tego zawodu bywają kształceni, a konserwując w organizmie skomplikowanym, od reszty świata murem chińskim odgrodzonym, ducha odrębności i kastowości, stają się rządem w rządzie, państwem w państwie.

„Żeby choć przywilej rządzenia dostawał się z reguły w ręce ludzi o wybitnych talentach, swobodnych zapatrywaniach i wysokich, szczytnych dążeniach, rezultat nie byłby tak ujemny. Tymczasem wobec zapotrzebowania do szeregów armii urzędniczej idącego w setki tysięcy, zdarzać się muszą i zdarzają w tej licznej armii ludzie mierni, prawdziwi wyrobnicy w rzemiośle rządzenia. Tacy rzemieślnicy urzędowi trzymają się suchej, czczej formy, nie badając treści urządzeń państwowych i ich właściwego celu, raz dlatego, że nie rozumieją ich ducha, powtóre, bo to dogadza i odpowiada ich umysłowej ospałości i etycznej obojętności etc.“

Jak widzimy autor wraca tu znów do pojmywania biurokracyi w sposób wprost przeciwny, jako zamkniętego, duchem kastowym ożywionego koła ludzi, etycznie zdeprawowanego, które rządzenie uprawia jako intratne rzemiosło. Mimo to autor nie zadaje sobie wcale trudu, aby objaśnić czytelnika, w jaki sposób godzi z sobą te dwa wprost przeciwne pojmywania biurokracyi, lecz zamyka rozdział swój o definicyi biurokracyi określeniem jej, sformułowanem przez Mohl'a, które brzmi w tłómaczeniu autora: „Biurokracya jest fałszywem pojmowaniem powołania instytucyi idei państwa, spełnianego (?) przez olbrzymią armię urzędników, złożoną po największej części z miernej wartości elementów, po-

przestająca na formalistycznej manipulacyi, dotknięta różnorodnymi przywarami i traktująca zawód swój jako rzemiosło.“

Tak więc dzieło p. O. mieści w sobie dwie zupełnie z sobą sprzeczne definicye biurokracyi. Mianowicie raz jako „kasty urzędniczej“ amoralnej, i to pojmywanie biurokracyi wraca częściej, drugi raz zaś jako wad systemu administracyi.

Sprzeczności tych autor nie usuwa wcale. A więc albo ich nie widzi, albo nie chce widzieć.

Gdyby wypadek pierwszy miał miejsce, w takim razie wypadałoby zrobić autorowi zarzut braku ścisłości myślenia. Zarzutu tego jednak nie jestem skłonny czynić autorowi, daje on zresztą bowiem w swem dziele nieraz dowody nawet zręcznej sofisteryi w swych argumentacyach, co wskazuje w każdym razie na pewną bystrość myślenia. Pozostaje więc tylko alternatywa druga, podejrzywanie autora o umyślne przeoczanie dwoistego określania pojęcia biurokracyi, którego sobie przedtem pozwolił, aby w ten sposób ułatwić sobie dalsze, nacechowane tendencyjną niechęcią traktowanie kwestyi wartości i społecznego działania zawodowych urzędników państwowych. Pozostawiając bowiem obok siebie dwie sprzeczne z sobą definicye dzisiejszej biurokracyi, autor w dalszych częściach dzieła umożliwia sobie bezkarnie podsuwanie dzisiejszemu zawodowi urzędniczemu wad, właściwych dawnym, rzeczywistym „kastom urzędniczym“. Gdy zaś dalej zbyt już daleko posunie się w tym względzie, może znów schronić się zręcznie, dla omylenia czytelnika i wzniecenia w nim na chwilę wrażenia objektywności w traktowaniu rzeczy, na teren drugiej słusznej definicyi biurokracyi, jako wad systemów administracyjnych i czas jakiś na tym terenie snuć swoje poglądy.

Że autor tak rzeczywiście postępuje, o tem przekonamy się z dalszej analizy jego dzieła. Tu zaznaczam tylko, że autor już w części swej pracy, dotąd przez nas rozpatrywanej, zdradza nie dwuznacznie ów brak objektywności i sprawiedliwości w ocenianiu społecznego znaczenia i wartości zawodu urzędniczego i tendencyjne przeciw niemu uprzedzenie. Obrzuca on bowiem zawód ten na każdym kroku stekiem niesłychanie szorstkich, brutalnych nawet epitetów. Wyrazy jak „mechanik administracyjny“, „płatny mechanik“, „wyrobnik w rzemiośle rządzenia“, „mandaryn“, „nędza świecąca wytartym mundurem“ etc. nasuwają się co chwila autorowi pod pióro, ilekroć razy musiałby w swej książce użyć właściwego wyrazu „urzędnik zawodowy“.

Skoro już mowa o właściwościach stylu p. Olszewskiego, to nadmienić muszę, iż robi on wogóle wrażenie stylu nader trywialnego i pełnego frazesów, niemających żadnej treści, co czyni dzieło p. O. raczej podobnem do jakiegoś politycznego pamfletu, niż pracy naukowej. A to tem więcej, że w dziele tem pełno nadto ustępów, pisanych w tonie artykułów dzienników radykalnych, które zawierają bezgraniczne schlebiania nieraz najniższym instynktom tłumu lub wprost podniecania tego tłumu do nienawiści, skierowanej przeciw urzędnikom państwowym. Postaram się wykazać to w dalszym ciągu moich uwag.

Twierdzenie moje co do, niewątpliwie dość zręcznego, nadużywania przez autora, postawionej przez się dwojakiej definicyi biurokracyi, do tendencyjnego traktowania kwestyi urzędniczej, potwierdzają w rzeczywistości dalsze ustępy pracy p. O.

W rozdziale „objawy biurokracyi ogólnej natury" (str. 107 i nstp.), rozbiera mianowicie autor takie — co prawda urojone — cechy nowoczesnej biurokracyi, które, gdyby istniały, byłyby w a d a m i c h a r a k t e r u, wysoce n i e e t y c z n e m i, a tem samem jako wady charakteru, mogłyby być udziałem jedynie pewnej, zwartej grupy jednostek, a więc o s ó b ale nie s y s t e m u a d m i n i s t r a c y i.

Nadto traktując te wady, autor nazywa urzędników znów wprost „kastą".

Spróbuję teraz zestawić pokrótce, ile możności własnemi słowami autora, te cechy amoralne, które przypisuje on urzędnikom publicznym dzisiejszej epoki.

Urzędnicy są zatem według autora: „kastą samolubną i chciwą, która służy pod sztandarem biurokracyi" (str. 109), która „zna tylko jeden cel a to: zadokumentowanie swego istnienia szeregiem dokuczliwych objawów społecznych w życiu prywatnem i publicznem" (str. 108). Członkowie tej kasty tylko „wstrzymywaniem się od zjednania sobie popularności i tylko unikaniem dogadzania życzeniom l u d u, dochodzą do szybkich awansów i odznaczeń" (str. 110).

Kasta ta pracuje codzień „nad utrwaleniem opinii, że ona jest powodem zwłoki, jakiej doznaje wprowadzenie instytucyi prawnych i społecznych, zabezpieczających ludności udział w rządzie" (chyba autor tu przypuszcza, że biurokracya walczy przeciw powszechnemu głosowaniu, żądanemu przez socyalistów, bo zresztą udział w rządzie jest już zapewniony szerokim kołom ludności). Walczy ona z samorządem zawzięcie, „nie uznaje ona postępu

nauk (?!), choćby te były jak najbardziej przekonywujące i nawet dla celów państwowych bez znaczenia" (str. 115).

„W pogoni za władzą, którą chce utrzymać za każdą cenę, wdziera się ta biurokracya w czysto duchową dziedzinę życia umysłowego i religijnego, interesuje się stroną moralną i etyczną (czy moralne a etyczne to dwa różne pojęcia? p. r.) życia obywateli, nie dla idei opiekowania się ludzkością, lecz dla utrzymania jak najobszerniejszego wpływu i władzy. Bierze w obronę pewne wyznanie, prześladując inne nie dla samej wiary, lecz dlatego, bo czuje, że jedność i wzmocnienie panującej religii jest najlepszą rękojmią trwałości dotychczasowych urządzeń. Panującego Kościoła i wyznania broni biurokracya nie dla przekonania, lecz dla tego, że chce w zamian używać wpływu sług dotyczącego Kościoła do utrwalenia swego panowania i dla dodania swej działalności pewnego nimbusu wyższej misyi (!!)" (str. 117).

Z tymi wywodami o machiawelskiej polityce kościelnej biurokracyi, kontrastuje tylko nieco zaraz potem na tej samej stronicy dzieła umieszczony ustęp, który mówi: „Historya prześladowania korporacyi zakonnych we Francyi za dzisiejszego socyalistyczno-biurokratycznego rządu, jest więcej wynikiem biurokratycznych zamachów, aniżeli indyferentyzmu religijnego i masońskich tendencyi." Trudno rzeczywiście zrozumieć, jak biurokracya popierająca potężne Kościoły, może jednem tchem popierać ruchy społeczne, skierowane przeciw wszelkiej religii, jakąkolwiek ona by była.

Nakoniec biurokracya dzisiejsza używa dla dopięcia swych potajemnych celów kłamstwa i podstępu (str. 119) i jest zdolną nawet, jeśli trzeba tego dla jej interesów do zdrady stanu (str. 120).

Na udowodnienie tego mnóstwa bezpodstawnych twierdzeń, autor nie poczuwa się do obowiązku przytoczenia żadnych faktycznych danych, z wyjątkiem chyba tego rodzaju urojonych mrzonek, jak przypisywanie wypędzania korporacyi zakonnych kastowym tendencyom biurokracyi we Francyi. I nie dziwnego! Łatwo bowiem bardzo na pierwszy rzut oka już zrozumieć, co się mieści w tych wszystkich gołosłownych twierdzeniach autora. Oto autor zebrał w nich wszelkie ujemne strony biurokracyi czasów państwa policyjnego i podsuwa je znanym sposobem dzisiejszemu zawodowi urzędniczemu zupełnie bezprawnie i bezpodstawnie. Prowadzenie takiej podziemnej polityki, jaką autor przypisuje dzisiejszemu zawodowi urzędniczemu, możliwe było w czasach

Macchiavellego, Ludwika XIV-go lub nawet jeszcze Metternicha. Dziś jednak przy rozwiniętej już tak silnie kontroli ogółu nad życiem państwowem, przy ogromnej potędze opinii publicznej, przy znanej nam już niemożności utrzymania się ducha kastowego między urzędnikami, tego rodzaju podziemne tendencye nie mogą żadną miarą ani istnieć ani rozwijać się w organizmie władz rządowych. Wierzyć w tego rodzaju baśnie mogą dziś chyba proste umysły tłumu nieoświeconego, dla których jedynym pokarmem duchowym są „Tajemnice Paryża“ lub „Blada Hrabina“.

Dlatego wywody p. O. mogłyby wywoływać tylko wrażenie komiczne, gdyby nie mąciła tego wesołego nastroju, jaki ogarnia po ich przeczytaniu, niechęć etycznej natury, którą budzi widoczna tendencyjność autora w traktowaniu przedmiotu.

Niepewny mianowicie, czy argumentacyą swoją wywołał pożądany efekt napełnienia czytelnika odrazą do zawodu urzędniczego, autor używa jeszcze na zakończenie zwykłego swego środka schlebiania instynktom mas, nie zawsze szlachetnym.

„Zamiast liczyć się do tego samego obozu, gdzie stoi lud, k t ó r e g o p r a w a w i n n y b y ć c e l e m n o w e j f o r m y p a ń s t w a, [1]) k t ó r e g o r o z w ó j l e ż e ć p o w i n i e n k a ż d e m u n a s e r c u, według jego siły i możności — woła autor — oddziela się biurokracya w ograniczonem samolubstwie, doszukuje się (?) w zadaniach dobra publicznego swojej zagłady“ (str. 112).

To też zadaniem autora, „s k o r o t y l k o u c i c h n i e z a w i ś ć m i ę d z y p o j e d y ń c z y m i o b o z a m i s p o ł e c z n y m i i n a r o d o w y m i, *możemy być świadkami gorszej i niebezpieczniejszej walki ludu z jego naturalnymi (??) kierownikami* (biurokracya) str. 111.

To suggerowanie wprost ogółowi a raczej masom myśli usunięcia gwałtem zawodu urzędników państwowych z powierzchni ziemi, nie da się żadną już miarą pogodzić z przedmiotowem i poważnem traktowaniem kwestyi administracyi biurokratycznej i rzuca w każdym razie co najmniej dziwne światło na tendencye pracy pana O.

---

[1]) Jaka szkoda, że p. O. nie wie, czy nie chce wiedzieć, że celem nowoczesnego państwa nie jest strzeżenie i realizowanie praw wyłącznie jakiejś jednej warstwy społecznej, lecz realizowanie dyktowanych przez ideę sprawiedliwości s ł u s z n y c h praw wszystkich zarówno warstw społecznych.

Czując zapewne sam, iż w powyższych wywodach poszedł nieco zadaleko, autor, korzystając z furtki, którą pozostawił sobie przez postawienie w swem dziele dwoistej definicyi biurokracyi, przerzuca się nagle na stanowisko krytyki biurokracyi, pojmywanej jako fałszywy system administracyjny.

Tu należą wywody autora o: „Szablonie i rutynie", „pisaninie" urzędowej, „tonie urzędowym" i „drobiazgowości" urzędowej.

Ale jakkolwiek wywody te są niby krytyką wad systemu dzisiejszej administracyi państwowej, specyalnie u nas, to jednak pisane są one w taki sposób, iż z nich, jako ostateczny rezultat wynika znów coś zupełnie innego. Nie krytykowany system administracyi, ale urzędnicy zawodowi państwowi, jako ludzie, stają ostatecznie w świetle tych wywodów, jako osobniki obarczone w dodatku do wad poprzednich, wszelkiego rodzaju maniactwami, niemal chorobami umysłowymi — a przedewszystkiem zaś naturą z gruntu niemoralną.

Posłuchajmy w krótkości tych wywodów!

Przywiązywanie w dzisiejszym systemie administracyi państwowej wagi do rutyny urzędowej jest, zdaniem autora, nietylko pozbawionem wszelkiej racyonalnej podstawy, ale nadto wprost szkodliwem dla interesów społecznych.

Rutyna i nieodłączny od niej „szablon" to — według p. O. — broń ludzi „o umysłach słabych, niezdolnych myśleć codziennie i samodzielnie", rutyna to środek niemoralnego „utylitaryzmu biurowego", któremu urzędnicy hołdują z nieetycznego zamiłowania do wygody, z gnuśności myślenia, niepomni na to, że stosowanie „szablonów", dyktowane rutyną, jest dla administracyi szkodliwem.

W taki to sposób w dziele p. O. rzekome wady systemu naszej administracyi, nabierają znów cechy wad charakteru urzędników jako ludzi!

A jednak, gdyby p. O. był rzeczywiście sumiennym i poważnym badaczem, natedy niewątpliwie byłby rozumiał, że źródeł szkodliwego stosowania szablonu szukać należy nie w urojonych amoralnych cechach charakteru urzędników, lecz zupełnie gdzie indziej.

Te źródła tkwią mianowicie w przesadnej centralizacyi dzisiejszej administracyi państwowej, która przynosi ze sobą nieograniczoną zawisłość władz niższych instancyi od wyższych, kie-

rowanie całej administracyi „z góry”, przez władze centralne we Wiedniu.

Ta zależność bezwzględna władz niższych od wyższych, sprowadza jako nieunikniona konsekwencyę ustawiczne oglądanie się władz niższych w każdej najdrobniejszej sprawie na to, czy rozstrzygnięcie jej będzie dogadzać intencyom władz wyższych czy nie, najczęściej z prostej bojaźni zdezawuowania władz niższych przez wyższe przed stronami. To oglądanie się zaś na „wolę wyższą” czyni urzędnika administracyjnego chwiejnym, lękliwym w swej decyzyi, a skutkiem tego także żądnym ustalonych, aprobowanych przez najwyższe władze szablonów czyli wzorów, których mógłby się ślepo trzymać i według nieraz naciąganych analogii stosować!

Zresztą p. O. zupełnie niesłusznie konfunduje razem kwestyę rutyny i szablonu. Rutyna w ścisłem tego słowa znaczeniu w zakresie administracyi, jest czemś zupełnie innem niż szablon i zamyka się w dokładnej znajomości ustaw i nabytej przez długie ustawiczne ćwiczenie zdolności szybkiego i trafnego stosowania tych ustaw do konkretnych wypadków życia społecznego, które regulują przepisy w odnośnych ustawach administracyjnych zamknięte, tudzież wyrobionej tą samą praktyką umiejętności obmyślenia takiego sposobu postępowania w danej sprawie, aby ona jak najszybciej i najgruntowniej załatwioną została.

Tak rozumiana rutyna jest dla administracyi czynnikiem nader ważnym i społecznie nader cennym i nadaje właśnie urzędnikowi, który ją posiada, tylko większą wartość.

O takiem pojęciu rutyny p. O. nie mówi nic, jakby ono wcale nie istniało, co również nie jest zgodnem z objektywnem traktowaniem podjętych przez się problemów.

Ale jeszcze o wiele gorzej przedstawia się u p. O. traktowanie drugiej wady dzisiejszego systemu administracyi, którą pan O. widzi w „pisaninie urzędowej“. Tę wadę charakteryzuje p. O. jako „szał pisarski“ w urzędach, a więc już wprost jako rodzaj umysłowej choroby, którą dotknięty jest a raczej ma być, według p. O., stan urzędniczy.

„To obarczenie (urzędów p. r.), spowodowane rozwielmożniona do niepojętych granic mania pisarską, musi z natury rzeczy wywoływać zaniedbywanie przez dzisiejsze urzędy wszystkich innych zadań bardzo ważnych dla celów społecznych i państwowych, które nie polegają na spożywaniu (!) foliałów pa-

pierów. Kiedy władze mają się zajmywać inicyatywą dobra społecznego, dobrobytu gospodarczego, lub rzeczami postępu i kultury, skoro czas ich schodzi na samem rejestrowaniu (!) tysięcy aktów, jakie w ciągu roku do urzędu napływają“ (str. 125).

Czy te słowa nie muszą wywołać w czytelniku wrażenia, że urzędy bawią się w sposób dziecinny sporządzaniem jakichś zupełnie bezcelowych rejestrów aktów, że „piszą“ coś, co nie stoi w żadnym związku ze sprawami ogółu i jego dobrem, że jednem słowem postępują tak, jak dotknięci umysłową chorobą.

Nie mógł tu już p. O. pominąć w zupełności kwestyi wpływu centralizacyi władz administracyjnych na wzrost korespondencyi urzędowych, które p. O zwie „pisaniną“. Ale ten wpływ centralizmu stawia on ostrożnie na drugim miejscu, mówi, że on jest „także“ przyczyną wzrostu „pisaniny“.

Ktokolwiek zna administracyę dzisiejszą u nas i w całej Austryi, ten wie dobrze, że ów centralizm władz administracyjnych, wywołujący ustawiczne sprawozdania władz niższych do wyższych w tem, co się ze sprawą pewną robi, i co się dalej zrobić zamierza, na odwrót zaś dawanie ciągłych wskazówek i poleceń, najczęściej zupełnie zbędnych, a dalej mnożący w nieskończoność tok instancyi, jest nie uboczną, lecz właśnie główną przyczyną umnożenia się w urzędach niepotrzebnej wewnętrznej ich korespondencyi między sobą. Korespondencya ta wpływa niewątpliwie hamująco na szybkość administracyi, ale nie jest to winą żadnej manii umysłowej urzędników, lecz złej organizacyi władz.

„Ton urzędowy“, pozornie kwestya już zupełnie i wyłącznie systemu administracyi, daje p. O. nowe pole do pobudzania ogółu do niechęci do urzędników państwowych, a razem do idącego daleko schlebiania ambicyi szerokich mas.

Niewiadomo na podstawie jakich danych — pan O. bowiem tam, gdzie zachodziłaby potrzeba nieodzowna przytoczenia faktów, zwykle wymija tę konieczność wyrazami „powszechnie twierdzą“ lub „dzienniki piszą“ — utrzymuje pan O., że dziś w urzędach panuje pewien nieodpowiedni ton, tak w ustnem, jak i pisemnem odnoszeniu się do ludności, przypominający zwyczaje „koszar wojskowych“.

Ten fakt, znany zresztą tylko autorowi, oburza go — w imię miłości dla ludu!

„Tak być nie powinno, bo „urzędnik mówi zawsze i pisze nie do niewolnika, lecz do wolnego obywatela państwa, do

pośredniego twórcy tego prawa, które słowom jego i pismom moc nadaje" (str. 130).

O tem, że urzędnik wykonuje swą władzę z mocy udzielnej władzy państwa *(Staatshoheit)*, a nie jako prosty mandataryusz każdego pojedynczego obywatela z „ludu", o tem p. O. nie wie, czy znów nie chce wiedzieć.

Nie poprzestając na tem, p. O. napomina dalej „lud", aby pamiętał o swych przywilejach udzielnego władcy i nie dał się źle traktować przez urzędników.

Powodem „wady trakowania przez urząd obywateli państwa „z góry", jest zbytnia pobłażliwość społeczeństwa, które nie powinno znosić nieodpowiedniego traktowania siebie przez urzędników, dochodząc zawsze swoich praw w przepisanej drodze" (str. 131).

Bardzo dobrze! Ale czy p. O. nie omieszkał zastanowić się także nad tem, czy to społeczeństwo nasze, bo o naszych urzędach i społeczeństwie mówi ciągle p. O. — umie z drugiej strony uszanować godność funkcyonaryusza państwa w urzędniku tak, jak np. ma to miejsce w tak często w dziele p. O. sławionej Anglii? Na tę kwestyę nie znajdujemy odpowiedzi w dziele pana O.

Wreszcie ostatnia wada rzekomo tylko systemu urzędów biurokratycznych dzisiejszych t. j. drobiazgowość w traktowaniu spraw. I ona w świetle książki p. O. nabiera cech nieetycznej wady charakteru urzędników, którzy pragną „całe życie obywatelskie i społeczne wtłoczyć w karby, spełniające rolę kagańca dla wolnej działalności."

Zamiast tego nic nie mówiącego frazesu, p. O. powinien był raczej zwrócić uwagę na prawdziwe źródło drobiazgowości, którem jest przesiąknięcie urzędów, które wykonują przepisy prawa publicznego, duchem cywilistyczno-prawnym, pod wpływem liberalizmu, za którego czasów rodziła się organizacya dzisiejsza tych urzędów i rozpoczynała się ich działalność.

Po tem chwilowem cofnięciu się, które co prawda w gruncie rzeczy jest pozornem tylko — na teren traktowania biurokracyi jako wady systemu dzisiejszej administracyi i wogóle dzisiejszego wykonywania praw, p. O. w następnych rozdziałach swej książki staje znów na stanowisku dopatrywania się w dzisiejszym zawodzie urzędników różnych cech i wad „kastowości urzędniczej", poczyna znów traktować rzecz z punktu pojmowania biurokracyi jako szkodliwej kasty społecznej

Sposobność do takiego traktowania rzeczy nastręczają p. O. normy i instytucye prawne, na których wspiera się dzisiejsza organizacya urzędów u nas.

Wszystkie te przepisy i instytucye nabierają w oświetleniu książki p. O. cechy środków, zmierzających do jednego celu, który zamyka się w tem: uczynić z urzędników zwartą armię, nie związaną żadnymi węzłami ze społeczeństwem, wśród którego żyje, posłuszną ślepo na każde skinienie swych najwyższych przełożonych, a nadto wytworzyć w urzędnikach ducha kastowości.

Do takiego celu przystosowane rzekomo te środki, wywoływać mają następnie — według p. O. — szereg skutków, przedstawiających się bądź jako nieetyczne cechy charakteru ogółu dzisiejszych urzędników zawodowych, bądź jako społecznie szkodliwe ich działanie...

Przypatrzmy się bliżej odnoszącym się do tej materyi wywodom p. O.!

Na urzędniku zawodowym państwowym ciąży u nas obowiązek ciągłego zajmywania się urzędem i wzbronione mu są pewne zajęcia uboczne, nieodpowiednie do jego stanowiska społecznego.

I jest to zupełnie słusznem!

Bo inaczej prawidłowe fungowanie urzędów nie mogłoby być zapewnionem. Nadto cierpiałaby na tem powaga stanu urzędniczego, gdyby urzędnik zajmował się w wolnych chwilach np. roznoszeniem gazet.

Autor ocenia tę rzecz z zupełnie innego stanowiska. — W tych tak prostych i łatwo zrozumiałych urządzeniach tkwi, według niego, inna potajemna iście machiawelowska myśl!

„Takie ograniczenie urzędnika na wyłączne zajmowanie się tylko pracą urzędową ma na celu — mówi p. O. — wyzyskiwanie na cele czysto państwowe (?) całego zasobu sił fizycznych i intellektualnych funkcyonaryusza państwa, i równocześnie zerwania wszelkiej łączności między nim i światem nieurzędowym, aby nie dopuszczać do jakiegokolwiek wpływu stosunków zewnętrznych na bieg i kierunek spraw państwowych" (str. 172).

„Urzędnik — ciągnie nieco dalej autor — ograniczony na źródło utrzymania swego i swej rodziny z pensyi, jaką pobiera od państwa, i nie mając w rękach żadnego innego zawodowego uzdolnienia, stać się musi mimowolnie niewolnikiem swego chlebodawcy, nie mogącym marzyć o opuszczeniu swego zajęcia nawet w razie, kiedyby to zajęcie stanęło w pewnych okoliczno-

ściach w zupełnej sprzeczności z jego zapatrywaniami i zasadami etyki, moralności i uczuć człowiekowi wrodzonych (?)" (str. 173).

A taki konflikt z uczuciami moralnymi, nie może ominąć żadną miarą urzędnika, bo nastręczają do tego nieuniknionej sposobności — wybory do sejmu i parlamentu, pełne nadużyć!

Ten popularny motyw „nadużyć wyborczych", powtarza się kilkakrotnie w pracy p. Olszewskiego.

W dalszym ciągu autor twierdzi, że także praca uboczna wzbroniona jest członkom rodziny urzędnika, acz jest to zupełną nieprawda. Otóż z takiego stanu rzeczy w połączeniu z niskiemi płacami, jakie urzędnik przez długie stosunkowo lata pobierać u nas musi, ma wynikać albo bezgraniczne obdłużenie urzędników, albo „z u p e ł n y r o z b r a t z u c z c i w o ś c i ą, n a d u ż y c i a, s p r z e n i e w i e r z e n i a i i n n e z b r o d n i c z e ś r o d k i z d o b y c i a s o b i e p i e n i ę d z y." Od tego smutnego końca chronią się jedynie wyjątki między urzędnikami, które porzucają służbę, idąc szukać gdzieindziej zarobku. A więc *a contrario* wnioskując, ogół urzędników — według p. O. — jest skorumpowany!

Jeśli autor tak rzecz postawił, jeśli rzucił w oczy urzędnikom naszym zarzut najcięższy, jaki można uczynić człowiekowi uczciwemu, natedy był obowiązany wskazać fakta, które go przywiodły do takich wniosków o etycznej wartości urzędników zawodowych. Powinien był sięgnąć do statystyki zbrodni i wykazać, że dostarcza ona faktycznych danych na poparcie jego twierdzeń. Gołosłowne zaś miotanie takich podejrzeń na stan urzędniczy może mieć jedynie zarzuty — pamfletu, ale nie pracy poważnej i ścisłej.

„Obowiązek wierności", który ma silnie wiązać urzędników w zwartą armię, oddaną najwyższej głowie państwa, jest dla p. O. źródłem dalszej korrupcyi moralnej urzędników. Odbiera on bowiem urzędnikowi możność „wystąpienia samodzielnego z własnem zapatrywaniem politycznem i do bronienia tego zapatrywania dopuszczonymi w ustawie środkami" (str. 178). A tymczasem urzędnikowi nie powinnoby być wzbronionem „wstrzymywać się od wszelkiej politycznej działalności przeciw k a ż d o c z e s n e m u r z ą d o w i i powinno mu być dozwolonem dawać wyraz swemu indywidualnemu zapatrywaniu" (str. 177). W jaki sposób wtedy rząd miałby rządzić, jeśliby jego własni funkcyonaryusze walczyli przeciw niemu i paraliżowali jego akcyę, tej sfinxowej zagadki p. O. nie rozwiązuje.

Ale pomijając tę kwestyę, pozwalam sobie poruszyć jedno tylko jeszcze pytanie.

Niezawodnie, jak długo urzędnik używałby owego „prawa politycznej walki z rządem“ na korzyść „ludu“, którego p. O. tak broni, nie ściągnąłby przez to na się gniewu autora. Ale coby stało się wówczas, gdyby ten urzędnik okazał się z przekonania zwolennikiem innych politycznych poglądów niż „ludowych“. Czy nie usłyszelibyśmy wtedy natychmiast innego żądania, aby temu urzędnikowi zabronić „nadużywania jego stanowiska“ i „krępowania woli swobodnych obywateli swoimi gwałtami?“

Obowiązek wierności zresztą na nic się nie przydaje, bo urzędnik jako biurokrata — jest według p. O. — każdej chwili zdolny do — zdrady stanu! (str. 178).

I to twierdzenie niewiadomo na jakiej opiera się faktycznej podstawie. A „tajemnica urzędowa“, także jedna z instytucyi, na których opiera się organizacya naszych władz rządowych? To również — według p. O. — środek uczynienia urzędnika bezwzględnie zawisłym, od przełożonych drogą „tajnej kwalifikacyi“, więc znów jeden z sposobów wytworzenia dobrze dyscyplinowanej „kasty urzędniczej“.

Nie będę się tu spierał z autorem co do kwestyi „tajnej kwalifikacyi“. Ta instytucya bowiem jest rzeczywiście niemoralnym przeżytkiem czasów dawnych państwa policyjnego i powinna być bezwzględnie zniesioną. Nie przyczynia się ona wprawdzie do wytwarzania „kasty urzędniczej“, ale daje możność lichym jednostkom, jakie jak wszędzie, tak i w urzędach znaleść można, do szkodzenia ich podwładnym.

Natomiast pozwolę sobie zauważyć tu co innego. Mówiąc o tajemnicy urzędowej, p. O. za pomocą skoku w argumentacyi, urągającego wszelkiej logice, przerzuca się na inne pole a mianowicie znów do kwestyi wyborów. — I tu tajemnicę urzędową, do której urzędnik, funkcyonaryusz państwa jest obowiązany, identyfikuje zupełnie z czemś innem, z tajnemi poleceniami, które urzędnicy mają dawać najętym agentom wyborczym, czyli t. z. u nas „macherom“ wyborczym. — Obowiązek przyjęty na się dobrowolnie przez takiego prywatnego „machera“, dochowania w tajemnicy instrukcyi rzekomo mu dawanych przez urzędników co do akcyi wyborczej, p. O. uważa za jednoznaczny z „tajemnicą urzędową“, ciążącą na urzędniku, identyfikując w ten sposób niejako pośrednio „macherów“ wyborczych z urzędnikami. Następnie zaś w imię tego, iż działalność takiego machera wybor-

czego jest niewątpliwie niemoralną, bo jest sprzedawaniem politycznych przekonań za pieniądze, piętnuje także obowiązek urzędnika, zachowania tajemnicy urzędowej, jako nieetyczny. Jest to jeden z najklasyczniejszych przykładów sofisteryi autora![1]

„Obowiązek posłuszeństwa“ podwładnego względem przełożonego w urzędzie, — to według p. O. — jeszcze silniejszy środek dla wytworzenia niewolniczej kasty urzędniczej. Nie ma on żadnej racyi, bo podwładny powinien mieć prawo wzbraniania się wykonania poleceń przełożonego, jeśli mu to będzie nakazywać poczucie słuszności. Jak w takim razie, jeśli każdy urzędnik byłby sędzią we własnej sprawie co do tego, czy dane mu polecenie przełożonego zgadza się z jego „poczuciem słuszności“ czy nie, możliwem byłoby nieprzerwane i prawidłowe fungowanie urzędów, o tem p. O. także nie wspomina.

Natomiast twierdzi on, że „od urzędnika biurokraty, przejętego urzędowem przekonaniem o nieomylności i potędze władz wyższych i wiarą, że tylko przez zupełnie ślepą uległość i schlebianie woli przełożonych, dochodzi się do korzystnych w karyerze rezultatów, nie można wymagać, aby poświecał te żywotne względy dla poczucia „słuszności lub moralności“. A więc działanie takiego urzędnika będzie z reguły niemoralne!

Na odparcie tego rodzaju absurdu, nie trzeba, zdaje mi się, dalszych wywodów. — Zbija on się sam!

Szczególnymi jednak środkami w oczach p. Olszewskiego, wytwarzania i podtrzymywania ducha „kastowości urzędniczej“ są panujące wśród urzędników pojęcia „godności urzędowej“ i stosowane do niej wymogi, jakie stawia się urzędnikowi co do zachowania tej godności w urzędzie i poza nim, tudzież przepisy o „uniformie urzędowym“ i „przysiędze służbowej“.

Przykładanie wyższej wartości społecznej do stanowiska urzędnika i płynące stąd poczucie wyższej godności urzędniczego zawodu, wydaje się panu O. wprost czemś śmiesznem i nielogicznem.

„Każdy stan — woła on — jest jednakowo godny szacunku, każde zajęcie o ile zmierza do uczciwego znalezienia środków do życia, jest jednakowo godnem szacunku“ (str. 193). Wychodzi to, nawiasem powiedziawszy, na to, że do zajęcia — przepraszam

[1] Rzecz inna, iż „tajemnica urzędowa“, wzbraniająca stronom przystępu swobodnego do aktów, który to system panuje dziś w administracyi, powinna być bezwględnie zniesioną.

za nieco trywialny, ale dobitny przykład — kanalarza powinniśmy przywiązywać tę samą wartość społeczną, co do pracy wielkiego artysty lub uczonego.

Ale pomijając tę kwestyę, p. O. nie przychodzi tu wcale na myśl, że urzędnik już choćby dlatego, że reprezentuje udzielną władzę państwa, ma może nieco prawa do okazywania mu większego szacunku ze strony społeczeństwa i że okazywanie mu tego szacunku wyższego ze strony ogółu, tudzież odpowiednie temu jego własne zachowanie się, nacechowane większą godnością, w znaczeniu etycznem oczywiście, jest może przecież jednym z nienajpośledniejszych warunków prawidłowego rozwoju społecznego!

Ale p. O. nie zadawala się owem odrzuceniem racyi przywiązywania wyższej wartości społecznej do stanowiska urzędowego, lecz idzie o wiele dalej. — Twierdzi mianowicie, że duch obecnie panujący w naszej klasie urzędniczej kształtuje w sposób nieetyczny, to poczucie godności u każdego urzędnika, ucząc go, że odpowiednie tej godności jego zachowanie się, polegać ma jedynie w dystyngowanem ubieraniu się, najmowaniu lepszego mieszkania, strzeżeniu lepszego miejsca w teatrze etc. Przez to zaś rozbudza się potężnie duch kastowy w urzędnikach i nakłania ich do traktowania innych ludzi według tych samych kryteryów. O tem, że od urzędnika wymaga się spełniania jego obowiązków i że według tej miary ocenia się go przedewszystkiem, co maluje się najdobitniej w tem, że od wyjątków niemoralnych w tej klasie, popełniających nadużycia, odwraca się ogół samychże urzędników i okazuje im wzgardę wprzód nawet jeszcze, nim ich dosięgnie ramię karzącej sprawiedliwości p. O., rzecz dziwna, nic nie słyszał.

Dalsze argumenty p. O. zmierzające do tego, iż powtarzanie przysięgi służbowej z każdą nową nominacyą na wyższy stopień urzędnika w jego służbie, ma być także środkiem do wytwarzania ducha kastowego wymyślonym, są znów jednym z najcenniejszych przykładów sofisteryi p. O.

Ktokolwiek zna choć powierzchownie urządzenie urzędów dzisiejszych, ten wie, że powtarzanie przysięgi służbowej przy każdym awansie, ma swoje źródło w tem, iż każde nowe wyższe stanowisko urzędnika ma w znacznej części inny nieco zakres obowiązków i praw niż poprzednie niższe. Otóż na to, iż urzędnik te nowe obowiązki szanować i przestrzegać będzie, składa on nową przysięgę.

Panu O. rzecz przedstawia się jednak zupełnie inaczej!

Urządzenie powtarzania przysięgi służbowej jest dla niego „niczem innem jak wspomaganiem rozwoju biurokracyi, która nie zadawalniając się klasyfikacyą materyalnych stosunków stanu urzędniczego, stara się wprowadzić zasadę podziału na rangi nawet w sferę ich d u c h a i s u m i e n i a" (str. 199).

Któżby się spodziewał takiego wniosku!

Witold Lassota.

(Dokończenie nastąpi)

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".